NUMER POŚWIĘCONY PAMIĘCI
Prof. Wł. KONOPCZYŃSKIEGO — 6 stron

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK VI. Nr 49 (285)

LONDYN, 7 GRUDNIA 1952 R.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

JAK ZOSTAŁEM HISTORYKIEM?

Jeżeli są przypadki w sprawach ludzkich, to przypadkiem; jeżeli są łańcuchy przyczynowe, to widocznie byłem do tego zawodu powołany. A jeżeli losem swym kieruje homo conscius, to można powiedzieć tak: przypadkiem znalazłem łódkę i wiosłowałem con amore, czasami z prądem, czasem na poprzek prądu.

Dom rodziców nie trącił myszką odległych wspomnień. Dziadek Stanisław, nauczyciel ludowy w Lipnie i Rypinie (zm. 1860), babka Klementyna Szulcówna z dawno spolszczonej rodziny, także mieszczańskiej, może nawet i z tych zasłużonych Szulców, co rozbudowali stolicę w kierunku Woli, ale bez resztek bankierskiej fortuny. W następnej generacji ojciec Ignacy i prawie wszyscy stryjowie, wujowie — inżynierowie, technicy, matematycy, z wyjątkiem stryja Emiliana, filologa i pedagoga, założyciela znanej w Warszawie uczelni. W moim pokoleniu doszli lub niedoszli inżynierowie lub rolnicy, ja sam jeden humanista-profesor (mówię na razie o krewnych, nie o powinowatych). Wśród dzieci, siostrzeńców obojga płci też tylko jedna żyje humanistka, reszta kieruje się do zawodów technicznych, lekarskich lub przyrodniczych. Księdza ani prawnika po naszej stronie — ani na lekarstwo. Jak się wychował w takim otoczeniu historyk-prawnik, • horyzontach trochę filozoficznych, nie bez aspiracji politycznych i religijnych?

Nie da się zaprzeczyć, że ojciec mój, jak na matematyka i inżyniera komunikacji posiadał sporo kultury humanistycznej. Wspominał chętnie swe koleżeństwo w gimnazjum z Piotrem Chmielowskim, w Szkole Głównej z Antonim Sygietyńskim, Aleksandrem Świętochowskim, zaopatrywał się przed laty w wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego", czytał z upodobaniem nowości literackie. Gust do muzyki i sztuk pięknych rozwijała w nas matka, Ludwika z Obrąpalskich, utalentowana malarka i śpiewaczka o srebrzystym sopranie, uczennica Gersona i Tromolinjego. W nas — to znaczy trzech braciach, Zygmuncie, Władysławie i Adamie. Matka też dbała o nasze wychowanie fizyczne: posyłała na ślizgawkę, na gimnastykę do zakładu M. Olszewskiego, gdzie gimnastykowaliśmy się wcale nie według Linga, ale tak, jak „anioły". „A jak się gimnastykują anioły?" — spytała kiedyś matka panią Olszewską. „Właśnie tak, jak Pani synowie".

Dla zdrowia i dla zacieśnienia zażyłości rodzinnej wozili nas rodzice na wakacje i na ferie wielkanocne na wieś. Tu niewątpliwie odegrał swoją rolę wychowawczą przede wszystkim dworek Dziepułć koło Radomska. Właściciel jego, mój dziadek Erazm Obrąpalski, także inżynier, nabudowawszy w Rosji sporo linii kolejowych, wywiózł do Warszawy swe dorosłe córki, żeby je zabezpieczyć przed małżeństwem z Rosjanami; poślubił secundo voto Marię Siemiradzką, siostrę Henryka i dla synka Janka z tego małżeństwa kupił ów folwark Dziepułć. Pomijam różne delicje tego zakątka, ale nie mogę pominąć oszklonej szafy bibliotecznej, w której dziadek i „młoda babcia" chowali „Jadwigę i Jagiełłę" Szajnochy, i „Dziejopisów krajowych", i Darwina, i Amicisa... i „British Authors" w wyd. Tauchnitza. Czytywano nam głośno „Pamiętniki kwestarza" Chodźki i „Opis obyczajów" Kitowicza, i bodaj „Myszeidę", tylko stosunkowo najmniej — wieszczów romantyków.

„Bies cię porwie, Mikołaju, hej ha, hejże ha, a swoboda będzie w kraju, hej ha, hejże ha" śpiewaliśmy dziadkowi, nie wyciągając z tego żadnych polityczno-wojskowych konsekwencji. Tradycje bowiem powstańcze bardzo słabo były w naszych rodzinach pielęgnowane. Ojciec (ur. 1849) śpiewał był pieśni na manifestacjach kościelnych 1861 roku, stryjenka Bogumiła z Rustejków, nim wyszła za Emiliana, skubała szarpie dla partyzantów i woziła przez kordon tajne zlecenia; ciotka Stanisława przyjaźniła się z córkami Traugutta. Wuj Ostromęcki poszedł z obozu na Sybir, wydany przez litewskich czy białoruskich chłopów. Ot i wszystko. Dziadek bowiem, stryj Emilian, wuj Strumiłło uważali powstanie za błąd i nieszczęście, a i Ostromęcki położył pieczęć na swej przeszłości. Tą drogą historia narodowa nie miała do mnie dostępu.

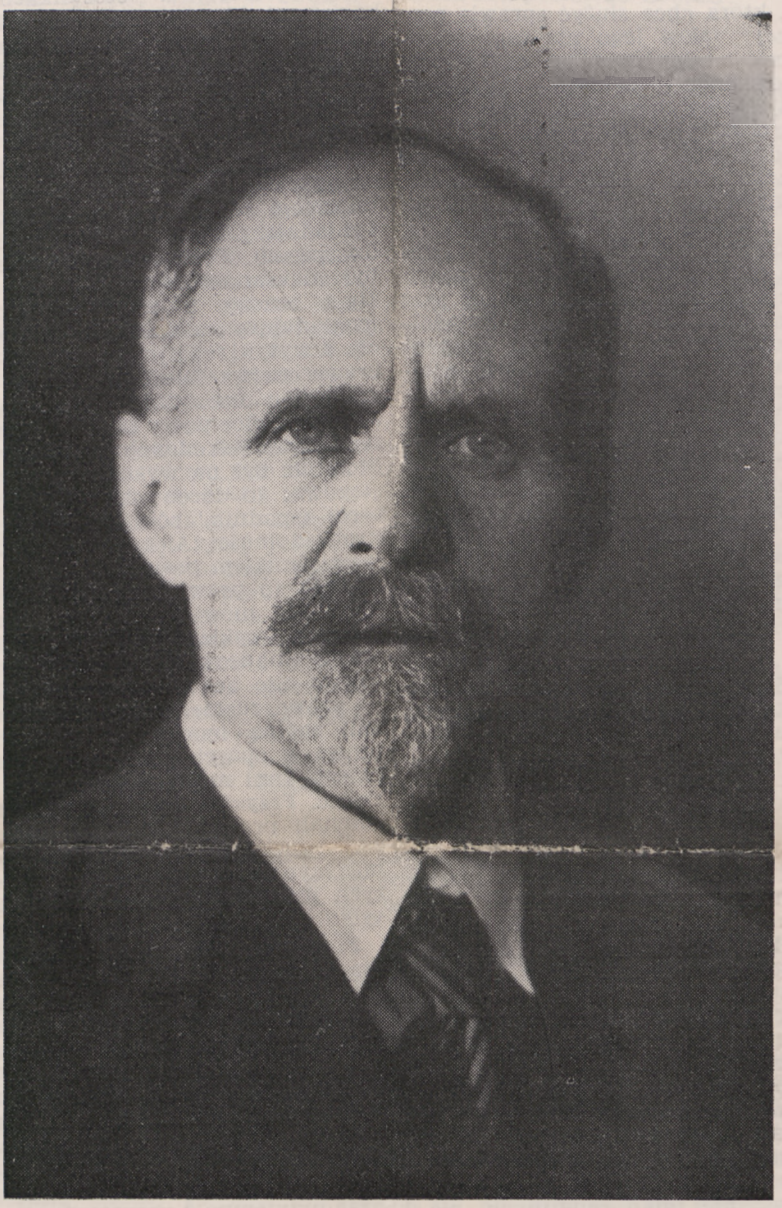
Były atoli inne drogi. Dziadek w Rosji zaprzyjaźnił się z zesłańcem Tadeuszem Korzonem, otrzymywał odeń w Warszawie kolejne publikacje, a że był prawie niewidomy, więc go ktoś z nas musiał prowadzić do państwa Korzonów, a rodzice wpadli na myśl, żeby mi na imieniny lub urodziny dawać tom po tomie „Historię powszechną". Żywa narracja pociągała obu nas starszych braci, urok uczoności Korzona promieniował na całą rodzinę, a na spotkanie mu wybiegała z mojej strony rozbudzona wyobraźnia.

Spełniły pewno swoją rolę książki, pisane dla młodzieży o „Myszach króla Popiela", o Chrobrym, o Rycerzu Błękitnym, o bitwie pod Raszynem. Wiadomo, jak przez słowiańskie tematy Taborytów i Serbów („Doczekali"), przez „Serce" Amicisa Przyborowski, Teresa Jadwiga i inni agenci polskiej intrygi sączyli w nasze dusze polski patriotyzm. Duże dozy historii zażywało się z „Wieczorów pod lipą", „Wieczorów jesiennych", „Opowiadań ciotki Ludmiły" itp. Ale to wówczas nie działało na mnie mocniej, niż na braci.

Wyobraźnię rozkołysali mi na dobre Robinson, Mayne Reid, Duch Puszczy, Młody Wygnaniec, Mieszkaniec Puszczy — wszystko płody obcego, zachodniego ducha w polskich przeróbkach. Z kolei przyszedł Juliusz Verne, czytany przez nas masowo (około 40 tomów) w przekładach rosyjskich i niemieckich. Od bohaterstwa i przedsiębiorczości Cyrusów Smithów i Mathiasów Sandorfów był już krok jeden do Achillesa i Hektora (oczywiście byłem całym sercem po stronie Indian i Hektora). Zanim poznałem Homera w oryginale, rozczytałem się szczegółowo w wojnie trojańskiej według opracowań prozaicznych. Po wojnie trojańskiej — tebańska („Siedmiu przeciw Tebom"), potem „wyprawa epigonów" i zaraz wojny messeńskie (precz ze Spartą). Jeszcze jeden skok i jesteśmy w dobie historycznej wśród Miltiadesów i Temistoklesów. Korneljusz Nepos uprzyjemniał nam łacinę, a na lekcjach polskiego deklamowało się, nie bez ukrytej aluzji: „Ha, Sardes gore". Nie pamiętam już w czyim opracowaniu, bodaj Grote'a, bo przestudiowałem całą historię grecką do Cheronei (precz z Filipem Macedońskim), potem dość obojętnie czytałem o Aleksandrze i diadochach, no i jazda do Rzymu. Tu po kolei chwytała mnie za serce niemal każda victa causa: Pontius Telesinus, Hannibal, Sertorius, Vercingetorix... Dopiero od Oktawiana pogodziłem się z Rzymem i odpierałem w myślach różnych barbarzyńców.

Stryj Emilian, śledząc z zadowoleniem moje klasyczne gusta i upodobania do historii pożyczał kolejno różnych tomów Schlossera. Ale cóż miałem robić, gdy mi pod rokiem 476 naszej ery zdezerterował Romulus Augustulus? Wlazłem nie bez wstrętu w wieki średnie, między Teodoryki i Rekkeredy, Chilperyki i Abderrehmeny, Kopronomy i Porfirogenety. Takie to było na wschodzie niewolnicze, na zachodzie nieokrzesane, kudłate, rogate, bezprogramowe... Ale trudno, trzeba było iść za Schlosserem aż w wiek XV.

Mniej więcej w tym czasie, kiedym przerabiał Viscontich i Sforzów, nastąpiła dwojaka interwencja z zewnątrz. Raz, gdym przyniósł ze szkoły niepierwszą dwóję z algebry i zasiadłem do swoich tablic chronologicznych i genealogicznych (stryjowi zawdzięczam tablice Broniewskiego), ojciec zirytowany powiedział: „rzuciłbyś te głupstwa". Nie rzuciłem, bo już przeczuwałem, czym będę. Zresztą sami rodzice postarali się dla mnie i dla starszego brata o nauczycielkę literatury polskiej. Zacna ta niewiasta, wnuczka generała-lingwisty Mrozińskiego, przy-



nosiła nam do kopiowania rys dziejów literatury własnego układu (o Kuliczkowskim trudno było nawet marzyć). Doszliśmy z p. Mrozińską do epoki pseudoklasycznej, kiedy nastąpiła jeszcze jedna interwencja.

Na początku klasy V brat Zygmunt zwierzył mi się, że go koledzy zaprosili do tajnego kółka samokształcenia i mnie zapraszają także, choć jestem dopiero piątoklasistą. Rodzice próbowali ten projekt (ojciec od r. 1892 jako Polak był wydalony z kolei nadwiślańskiej, gdzie był naczelnikiem ruchu). Ja, wyrodny, po namyśle, odmówiłem. Nie teraz jeszcze: mnie teraz obchodzi tylko historia powszechna, nie polska. Dziś myślę sobie, że trzeba było być takim jak ja zarozumiałym, niepoprawnym przez całe gimnazjum prymusem, aby uchylać zaszczyt i obowiązek. Ale już taka była moja natura: szedłem przeważnie za wewnętrznym, a nie zewnętrznym impulsem. Odmówiwszy, przerobiłem, jak się rzekło, końcowe, średniowieczne tomy Schlossera, ale wziąłem się do historii polskiej i do dalszego ciągu literatury. W ciągu wakacji 1895-6 program był wykonany (w Dziepułci i w Rogolinie u Ostromęckich). Na czymże on polegał? Na zrobieniu wyciągów z niezbyt naukowej książki L. Rogalskiego, z Korzona i ze sławnych „Dziejów Polski w zarysie" Bobrzyńskiego. Do poznania się zaś z literaturą służyli mi Bartoszewicz i Spasowicz. Później, w klasie szóstej, dotarłem jakoś do Tatomira, na chwilę do Lewickiego, kupiłem sobie ciężko strawne „Ksiąg dwanaście historii" Szujskiego, a stryj pożyczał mi znów tom po tomie znakomite „Dzieje Polski" tegoż autora.

Zgłaszającego z późnym akcesem kółko przyjęło mile; wnet zostałem wybrany delegatem grupy szóstoklasistów do zarządu. Odgłosy tych wyborów odezwały się w „prasie": mój rywal, Wacław Wróblewski, syn geografa, późniejszy komunista, zamieścił w tajnym piśmie kółkowym (o którym niżej) bajkę, gdzie jakiś chytry ptak radzi głosować na trzeciego kandydata gawrona (ów trzeci, Owerkowicz, był brunetem), aby utrącić drugiego (ów drugi, wróbel, był wówczas tetmajeryzującym poetą — z czasem przepadł w Moskwie). Poprowadziłem kurs historii polskiej w grupie koleżeńskiej w ten sposób, że przerabialiśmy prawie wyłącznie Bobrzyńskiego i jakoś długo nikt nie próbował nam zalecać żadnej odtrutki na te mądre, ale mrożące wywody. Urządziłem kolegom ciągniony egzamin i zachowałem te bilety do dziś dnia.

Przed samym Bożym Narodzeniem zarząd przyjął do wiadomości, że kolega bibliotekarz Jan Dmochowski nie może nadal opiekować się księgozbiorem. Zaszczytny ten ciężar wziąłem na siebie i nie pytając o zgodę rodziców, przewiozłem nagle cały skarb z ulicy Freta na ul. Kruczą. Pamiętam chwilkę niepokoju, gdy stojący pod kolumną policjant obrzucił badawczym okiem mój kosz, z którego szczerzyły się, jak zęby, nasze książki, na samym wierzchu „Kwintesencja socjalizmu" Schäfflego. Rodzice pogodzili się z faktem dokonanym; zresztą pod moje włodarstwo poszły tylko książki cenzuralne (około 400 tomów), a „nielegalszczyznę" wziął do swego książęcego lokalu na rogu Wilczej i Alei Ujazdowskich kolega Adam Woroniecki (późniejszy o. Jacek, dominikanin).

Nie wchodzę tu w charakterystykę przywódców kółka — choć byłoby o czym pisać — powiem słów parę o bibliotece i naszej polityce samokształceniowej. Zastałem w dziale legalnym dużo wiedzy pozytywistycznej, zwłaszcza socjologii i ekonomii, po części rodem ze wschodu: różne Drapery, Spencery, Huxleye, Świętochowscy, a tuż obok Iwaniukowy, Sieczeniowy, Pisarewy, Karejewy, Michajłowy. Był to dorobek i chleb powszedni naszych poprzedników. Zarząd pokiwał mocno głowami nad tą mądrością, stanowczo niezbyt dostępną dla piąto- a choćby i siódmo-klasistów. W dodatku kierownicze duchy tego zarządu: Julek Kowalczyk, Wacek Wróblewski, Tadek Korniłowicz, Ignacy Fonberg, Adam Woroniecki w całkowitej zgodzie ze mną i większością kółkowiczów uznały, że powinniśmy w tajnej organizacji przede wszystkim nadrabiać to, czego nam zabroniono lub zniekształcono w gimnazjum. Uchwalono więc radykalnie usunąć książki rosyjskie, kupować dzieła polskie historyczne i literackie. Wyjątek zrobiono dla dzieł M. Karejewa (O samokształceniu i in.), tudzież dla „Kreutzerowskiej sonaty" Tołstoja. Mogłem tedy folgować swoim coraz wyraźniejszym upodobaniom i znosić od antykwarjuszów z ul. Świętokrzyskiej Korzonów, Smoleńskich, Pawińskich — bez ujmy dla Chmielowskich i Święcickich. Zagraniczne wydania wieszczów gromadził u siebie, na jednej półce z Kalinką i Marxem, kolega Tamten. Bo oczywiście wszyscy mieliśmy pseudonimy konspiracyjne: Prawdzic, Asser, Yes, Kij etc; mój brat matematyk był dla niepoznaki Historykiem, a ja Dantyszkiem, ile że gdańszczanin Flachsbinder, to niby trochę K o n o p c z y ń s k i.

Kółko w rozkwicie liczyło powyżej 40 członków; podobne organizacje istniały we wszystkich gimnazjach, z wyjątkiem I i VI, gdzie uczyła się młodzież rosyjska lub niemiecka. Wszędzie brał górę duch narodowy nad kosmopolitycznym socjalizmem. Przypisywaliśmy to swym własnym aspiracjom i naszej reakcji na pedagogię apuchtinowską; dziś dla mnie nie ulega wątpliwości, że kierowali nami koledzy starsi, „zetowcy" z uniwersytetu.

Nie obeszło się bez wydawania tajnego pisma kółkowego bez tytułu, w czarnych zeszytach. „Nakład" wynosił trzy egzemplarze, bo tyle sióstr chętnych do przepisywania miał nasz promienisty Kowalczyk-Prawdzic (o hektografach jeszcze się nam nie śniło). Jeżeli tam kol. Wróblewski bluszczowo obwijał się koło Tetmajera, Oginiec-Puzyna brał natchnienie z Krasińskiego, Balonik-Korniłowicz skubał ich obu w satyrycznych zwrotkach à la Heine, ktoś tam jeszcze analizował źródła nie wiem czyjego pesymizmu, to dlaczego bym ja nie miał dać przetworu cudzych badań historycznych? Jakoż dałem już w szóstej klasie rozprawę o stosunku Polski do Czech w czasach husytyzmu. Ciągnęło się to opus przez dwa numery i przyjęte zostało z szacunkiem. Kto by nie wierzył, przekona się snadno z zachowanego czystopisu, że to dzieło „skreślił podług źródeł Wł. Konopczyński", który w publikacji występuje jako Dantyszek. „Źródła" wyzyskał autor cztery: Dzieje Szujskiego i Bobrzyńskiego, Korzona i Gajzlera „Rys dziejów czeskich". Pogląd zasadniczy powtórzył za Bobrzyńskim, czego dziś szczerze żałuje (bo w 1423 żadna krucjata nam nie groziła). Ktoś z kolegów zwrócił mi uwagę, że właściwie nie piszę podług źródeł, tylko według opracowań. Postanowiłem się poprawić i poszedłem do Korzona, do Biblioteki Zamoyskich, już nie jako wnuk ociemniałego dziadka, ale jako aspirant do dziejopisarstwa. W opisie tej audiencji pomogę sobie dziennikiem, który prowadziłem od 11 lutego 1895 r.

„Na pytanie moje, kto może korzystać z Biblioteki Zamoyskich, odpowiedział pan Korzon, że trzeba na to mieć pozwolenie hr. ordynata, że księgozbiór ten zwiedzają ci, którzy chcą oglądać wielkie rzadkości, unikaty, zabytki dawne, rękopisy itd. Radził mi udać się do biblioteki wszechnicy warszawskiej. Mówiłem, że chcę czytać dzieła historyczne: Szkice Smolki, Kubali itp. Z powodu tego zaszła rozmowa o bohaterach „Ogniem i mieczem" i p. Korzon pokazywał mi akty, w których są wiadomości o śmierci Wołodyjowskiego w Kamieńcu. Oglądałem niektóre książki, których używa p. Korzon do pisania monografii: „Dola i niedola Jana Sobieskiego". Gdym się spytał, czy w księgozbiorze wszechnicy znajdę źródła, pamiętniki, kroniki, otrzymałem odpowiedź twierdzącą (tu muszę z pamięci uzupełnić dziennik: „Panu jeszcze za wcześnie do źródeł" — powiedział mistrz) i zaczął mi objaśniać znaczenie pamiętników w porównaniu z aktami. Według słów pana Korzona, akta, jako „chwytane na gorąco"... są pewne i nieskończenie ważniejsze od pamiętników, których autorowie mogą być głupi, interesowni (jak Matuszewicz), łatwowierni itd. Pokazywał mi pan Korzon rękopis „Rysu dziejów węgierskich" Gajslera, które wkrótce zaczną wychodzić, oraz „Genealogię Piastów" Balzera. Nadzwyczaj zachwalał Korzon Historię Lewickiego. Pytał mnie, jakie ja historie znam. Mówiłem, że Tatomira, Lewickiego, Bobrzyńskiego. „Z tej ostatniej korzyści nie można osiągnąć" — odpowiedział p. Korzon. Spytałem się, czy dlatego, że jest to szkic. Odpowiedział p. Korzon, że „Dzieje Polski" Bobrzyńskiego są przede wszystkim dziełem adwokackim, nie historycznym. Bobrzyński dla zaokrąglenia dzieła zachowuje, że tak powiem, jasność tonu, jak we francuskich klasycznych tragediach, i pisze o tym, co wyjaśni jego myśl główną, „torturuje historię, bo ją skraca, obcina i naciąga za uszy". Co najważniejsza, historyk, według słów p. Korzona, nie powinien sądzić o wypadkach z punktu widzenia XIX wieku, zamiast z punktu widzenia współczesnych — a tego często dopuszcza się Bobrzyński.

W dowód tego, jak źle są poinformowani pamiętnikarze, mówił p. Korzon o Kochowskim, który nawet o sejmach pisze mylnie i niedokładnie, plącze imiona marszałków i miast, myli daty o całe pół roku. Jako przykład blagi i próżności pamiętnikarzów przytaczał p. Korzon Łubieńskiego, wykształconego człowieka i ministra za Kongresówki, który pisze, że następca tronu pruskiego, Fryderyk Wilhelm II zaprosił się ongi do niego na obiad, na którym był i generał... (tu zamyślił się pan Korzon i dopiero po jakimś czasie powiedział Cornwallis) i opowiadał niby, że go Kościuszko wziął do niewoli. A wiadomo, że Kościuszko wojował pod Charlestownem, podczas, gdy Cornwallis poddawał się Washingtonowi (wstyd, że na pewno nie wiedziałem nazwiska Cornwallisa). Jeszcze co do Bobrzyńskiego. Ten w każdym wypadku uważa przymierze francuskie za korzystniejsze dla Polski, niż austriackie, a p. Korzon twierdzi, że Francji zawdzięczamy tylko zepsucie (toż samo napisane w „Doli i niedoli Jana Sobieskiego"), a Austrii pomoc w wojnach szwedzkich (Karola Gustawa). Przymierze żadne nie jest wiecznie pożytecznym, a każde może być pożyteczne wedle okoliczności. Ot, i tyle." Tyle, to może nawet za dużo. Ale to było moje pierwsze najowocniejsze seminarium.

Nie zrażony życzliwą odprawą, wyrobiłem sobie wstęp do owego „księgozbioru wszechnicy", tj. do biblioteki uniwersyteckiej (w kółku panował językowy puryzm) i rozglądałem się za nowym tematem. W czarnych zeszytach jeden z kolegów zamieścił tłumaczenie wstępu do „Polen um die Mitte d. XVIII Jahrhunderts" R. Roeppella (według niego Replera). Zaciekawiony kupiłem sobie tę monografię i od razu, na długie lata poczułem pociąg do tragicznie zasłużonej Familii Czartoryskich. Wnet miałem już „Pamiętniki" Matuszewicza i Kanteckiego dzieło o Stanisławie Poniatowskim i Askenazego „Königswahl". A tu, jak z nieba spadły na mnie jeszcze „Źródła dziejowe", ofiarowane przez A. Jabłonowskiego do naszej biblioteki kółkowej. Z lekkiej ręki machnąłem dla kolegów rozprawkę „O Multanach i Wołoszczyźnie", potem o wojewodzie Stefanie Wielkim, oczywiście na podstawie Jabłonowskiego, tym razem już nie bez zaglądania do źródeł. A że się chciało wypróbować siły w impresjach z wycieczki (do Ojcowa) i nagadać kolegom za niedbałe spełnianie obowiązków kółkowych, więc stałem się dla naszych składaczek (niby zecerek) Kowalczykówien niebezpiecznym grafomanem.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Pismo nasze nie wytrzymało tak jednostronnego pożywienia i uschło na widok pierwszego kawałka mojej „Familii Czartoryskich". Bliska matura ostudziła ryzykanckie animusze starszych kolegów. Dosłuchaliśmy, jak się dało, wykładów o literaturze XIX wieku Ignacego Dąbrowskiego (który nam kwintesencję bajronizmu wskazał we... „Wrogu ludu" Ibsena), tudzież historii porozbiorowej adw. M. Malinowskiego (który przepowiedział katastrofę caratu w roku 1915) — i ruch kółkowy ku memu zgorszeniu przeniósł się głównie do następnych roczników. W kontakcie z kółkiem zdobyłem niewątpliwe kwalifikacje na pracowitego kompilatora cudzych zdobyczy. Dalszy postęp czekał mnie na zupełnie innych szlakach.

II.

Z uzdolnień, bez których nie można być historykiem, najwcześniej wyrobiłem sobie i pewno najlepiej zachowałem — pamięć. Jak gdyby punkt honoru miałem w chronologii i doskonaliłem się w niej przez ciągłe ćwiczenia. Łacina i greka służyły do ścisłego wnikania w teksty i formułowania zdań. Zdolności analitycznych i syntetycznych jeszcze nie doceniałem i próżno wysilał się nasz nauczyciel historii i rosyjskiej literatury, Wasilij Stiepanowicz Szimanowskij, aby nasze umysły w tych kierunkach rozruszać. Timeo Danaos — ostrzegał Wirgiliusz. „Aj juchy, juchy, Moskale, psiajuchy" —nuciliśmy sobie według starego śpiewnika, więc się puszczało mimo uszu wywody, może i nie zawsze głupie, łysego, kaprawego i podejrzanego pod każdym względem humanisty. Ja osobiście na jego lekcjach, jak i na wielu innych, czytałem arcydzieła i dzieła literatury powszechnej. Dyskusje, argumentacje, teorie odkładałem na zebrania kółkowe, gdzie zresztą zaćmiewali mnie Kowalczyk, Fonberg, Woroniecki, Korniłowicz. Dusza rozwijała się w prymusie trochę jednostronnie i bez pośpiechu. Co prawda mnie, jako prymusa, pośpiech w ogóle nie obowiązywał. Inni palili papierosy, tańczyli, flirtowali, czasem deboszowali, niektórzy kpili z księży jeszcze przed wtajemniczeniem w sprawy kółkowe, strzygli uszami, gdzie wieje wiatr postępowy: mnie to nie imponowało. Nawet w czytaniu powieści byłem zapóźniony: „Trylogię" poznałem dopiero w piątej klasie. Moja lektura w siódmej klasie, to Szyller, Goethe, Byron, Szekspir, Puszkin, Lermontow, Gogol, Słowacki, Tołstoj, Kornig, Payot; więc jeden wieszcz polski na tylu cudzoziemców. Tołstoj — to tylko „Kreutzerowska sonata"; ona i broszura Korniga należą do rzeczy zaleconych w osobnym kółku „słupników" tj. filaretów, gdzie uświadamialiśmy się w sprawach etyki płciowej przeciw rozpuście. Payot'a „Kształcenie woli" przeczytałem też bez pośpiechu, głownie na jego część drugą, praktyczną. Tak z poezji i moralistyki wsiąkały we mnie impulsy, czy pierwiastki, które do kultury charakteru, wyhodowanej przez Rodziców coś niecoś na pewno dołożą. A nie ulega dla mnie wątpliwości, że prócz pamięci, zmysłu badawczego i pogłębionego umysłu przyda się historykowi także charakter.

Tak, tylko że charakter pozostałby prymitywnym, niewypalonym, glinianym naczyniem, gdyby Pan Bóg zbyt dosłownie przyjął naszą modlitwę: „i nie wwódź nas na pokuszenie". Otóż mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zetknąłem się z kółkiem, słupnikami i źródłami, zrobiłem ważne odkrycie, że istnieją w świecie — panny. Parę z nich wpadło mi w oko; jedna wpadła w niedoświadczone serce. Trudno nie wspomnieć bez uśmiechu tej wiosny w szóstej klasie, kiedy się pierwszy raz z oburzeniem, pogardą, ironią zaczęło śledzić w samym sobie jakieś naprawdę wiosenne powiewy i wonie. Kwiecień 1897 r., maj 1898 i lato tegoż mickiewiczowskiego roku — oto ramy chronologiczne der alten Geschichte, die ist doch immer neu (polubiłem niemczyznę dzięki pewnej przelotnej znajomości, która mi wsunęła do rąk Szyllera). Ale Szyller po trosze ustąpił miejsca Heinemu, a tamta znajomość — też komu innemu. Pewna panna, daleka kuzynka, zrazu sympatyzowała ze mną (żeby nie powiedzieć za dużo), potem, gdy poznała mego sympatycznego przyrodniego wuja, poczęła wzdychać do niego. Ja ze wszystkimi swymi Szylleramı i Payotami zostałem odstawiony, zdystansowany, czemu się trudno dziwić, bo byłem wówczas zarozumiałym sensatem i pozerem, a kuzyn miły, wesoły, miał większą wprawę w rozmowach z pensjonarkami. Partia była przegrana — czy miałem dawać widowisko zazdrości, czy może zrywać z przyjacielem? Dla kogo? Dla kobiety? Przeciwnie, teraz nasza przyjaźń się zahartuje, pogłębi, a ja tym moim tęsknotom i zawodom wypowiem wojnę eksterminacyjną.

Przeciwnika trzeba znać i teren walki także. Poznajmy więc samego siebie. Ostatni rok szkolny przed maturą rozpoczynałem pod znakiem psychologii, a nie historii. Teraz przyszedł mi z pomocą Payot, nie tyle jako wychowawca, bo już jego recepty sobie dawniej przyswoiłem, ile jako psycholog. Nie wchodzę w to, czy był to przewodnik najlepszy, ale w każdym razie on mnie wprowadził w zagadnienie stosunków między myślą, uczuciem i wolą. Psychologia nieco wcześniej przyjęła się w naszej elicie kółkowej; Kowalczyk przypisywał sobie, może i słusznie, przenikliwe duszoznawstwo. Korniłowicz obnosił się ze schematem kątów woli, ułożonym przez jego ojca, neurologa. W tej swojej predylekcji do spraw duszy i ducha upatrywali oni kwalifikacje na „romantyków". Kto tych rzeczy nie odczuwał, jak do niedawna ja, był dla nich „wstrrrętnym pozytywistą". Otóż naprawdę jedni wcześniej, inni później, klarowaliśmy się jako indywidualiści, przejęci kultem jednostki i zapatrzeni w jej nieodgadnione wewnętrzne bogactwa.

Wspaniałą próbę dociekań psychologicznych dostałem z rąk tych „romantyków" w postaci studium Wł. Matlakowskiego o Hamlecie. Zrobić z labiryntu mętnych skłonności swój własny mikrokosmos, stłumić w sobie niepotrzebne tęsknoty, zapanować nad wszelką namiętnością, przepalić uczucia i żądze w jedną wielką siłę twórczą — takie sobie wymarzyłem zadania, jedne nieco teoretyczne, drugie czysto praktyczne. Poetą być nie zamierzałem, choć przez ćwiczenia na pewno zdobyłbym sztukę rymotwórczą. Brałem słowa od prawdziwych poetów, ale dla pogłębienia swej samowiedzy rozczytywałem się w dziełach Fr. Paulhana o psychologii charakteru, A. Fouillée'go o temperamencie i charakterze, Simona o sennych marzeniach (wszystko w rosyjskich przekładach). Ilustracji szukałem w literaturze dramatycznej, którą zresztą wyjątkowo tylko poznawałem ze sceny. Przy ówczesnym stanie mej uczuciowości Czwarta część Dziadów, Nieboska, Horsztyński, Faust, a później Brand Ibsena dostarczyły mi głębokich przeżyć. Już nie konflikty ludzi i idei, jak w Wallensteinie i Don Carlosie, ale zmaganie się człowieka z samym sobą, z wewnętrznym złem lub lichotą, z przeznaczeniem, choćby i Opatrznością — Manfreda czy Kaina, hr. Henryka czy bohaterów Eschylosa — to były „młodości mojej niebo i tortury".

Jeżeli etyka filarecka kazała się łamać ze zmysłowością, a czułostkowość według praw przyrody wiodła do zmysłowości, to nie ma innej rady, jak wykląć czułostkowość, choćby z nią razem miała iść na wygnanie czułość. To mi się udało osiągnąć w dużym stopniu, ale żeby kierować swym sercem, albo nawet budzić w nim coś, choćby najzacniejszego, co się samo nie narodziło, na to oczywiście u żadnego Ribota ani Thomasa przepisów nie znalazłem. Lubując się w analizie własnych przeżyć, doszedłem do świadomości tego, że ja to jestem j a, w przeciwieństwie do sześćdziesięciu różnych sentymentów, wrażliwości, skłonności, kiedy inni ludzie zaliczają do swego j a także wszelkie słabostki i przypadłości, a kobiety przez j a rozumieją nawet zdobiące je fatałaszki. „Wejść na szczyt własnej duszy" stało się moją dewizą.

Takie myślęta unosiły się nad moją głową, gdym w czerwcu 1899 roku opuścił mury IV gimnazjum ze świadectwem maturycznym i srebrnym medalem. „Całe powietrze w Arabistanie zaledwo mi za oddech stanie", powiedziałem sobie, patrząc w oblane słońcem Aleje Ujazdowskie. Będę, czym zechcę. Ogrom życia przede mną.

W danej chwili już było zdecydowanym, że na razie będę studentem wydziału prawa. Dałem się łatwo przekonać Rodzicom, że można być historykiem, a jednocześnie zarabiać na życie praktyką adwokacką: toż prawnikami są Korzon, Smoleński, Rembowski, Kraushar. Rada była dobra i lepsza, niż to z początku rozumiałem. Po pierwsze, trzeba znać zasady ludzkiego współżycia, po wtóre, właśnie o wydziale prawnym Uniwersytetu Warszawskiego było wiadomo, że tam się studenci nie przepracowują, więc i ja będę mógł swoim zwyczajem, jak w sztubie, „zanimatsia postoronnim diełom", a więc pogłębiać swe humanistyczno - filozoficzne wykształcenie. Wszak byłem dopiero u progu studjów nad psychologią, a byłoby gorzej, gdybym się zapisał na uniwersytet galicyjski i zaraz począł odrabiać pensa seminaryjne.

Zaraz po wpisach zostałem członkiem nielegalnej Bratniej Pomocy, jako zwykły popielaty student w grupie II, którą w zarządzie reprezentował Józef Stypiński, matematyk. Po roku czy później sam zostałem delegatem, ale wyżej się nie wspinałem. Dopiero w ostatnim roku studiów na tle rozłamu przekonaniowego (secesja radykalniejszych żywiołów do pepesowskiej Spójni) puściłem farbę jako — narodowiec. Z kółkiem IV gimnazjum zachowałem czucie, ale tam już było dosyć obco: pod wpływem krajoznawcy A. Janowskiego podnieśli głowy różnego rodzaju postępowcy. Nie palnę może głupstwa, gdy powiem, że przez owego „wuja" rozciągnęła nad naszymi następcami swą wychowawczą rękę — masoneria.

Ja w dalszym ciągu szukałem swej własnej drogi, najpierw w świecie idei, potem, gdy trzeba będzie, także wśród wirów społeczno-politycznych. Droga wiodła po dawnemu na „szczyty własnej duszy". Odbywałem ją sam jeden, nie szukając innych przewodników. Już słychać było o Lutosławskim i jego eleuzyńskim Monsalwacie, już mi „romantycy" zachwalali Wyspiańskiego, ale niekiedy też Przybyszewskiego. Jako „pozytywista", szukałem wskazań jasnych i uchwytnych. Podobał mi się „Ruch etyczny" Sheldona, szerokim tchnący humanitaryzmem. Rozglądałem się wśród kolegów, którzy by szukali dobra razem ze mną. Rozmowy moje nie pozostały tajemnicą. Kolega Jan Wigura, wybitny działacz bratniacki, zaproponował mi pogawędkę na przechadzce wzdłuż ulicy Królewskiej i spytał, czy bym nie chciał należeć do tajnej organizacji młodzieży, która chce służyć sprawie polskiej (słów jego nie zapamiętałem); członków tej organizacji obowiązuje karność i tajemnica. Tajemnicę obiecałem, ale co do karności oświadczyłem, że nie poddałbym się wbrew swemu przekonaniu niczyim nakazom. Innymi słowy: odmówiłem wejścia do Związku Młodzieży Polskiej, z którego wychowankami miałem się zejść w pracy dopiero po latach siedemnastu. Kiedy indziej sam zaszedłem do jednego z najzdolniejszych, jak mówiono, studentów przyrodników, zarazem wielbiciela Młodej Polski. Na moje wstępne wywody, że szukam towarzyszy do pewnej pracy duchowej, piękny blondyn zaczął się śmiać, nie tyle ze mnie, ile z kolegów, którzy koniecznie chcą, żeby on zbawiał Polskę a on nie chce zbawiać Polski, jemu wystarczą Przybyszewski, Poe, Chimera... Ten praktykujący przybyszewszczyk widocznie wziął mnie, etystę, za agitatora Zetu...

Sam wobec tego przerabiałem „Etykę" Spinozy, szukając w niej właśnie e t y k i przez małe e; potem „Krytykę praktycznego rozumu" Kanta, „Grundlagen der Moral" Schopenhauera (całkiem słusznie n i c h t gekrönt przez duńską akademię), Etykę Wundta, „Critique des systemes de morale contemporaine" Fouillée'go, rzecz o metodzie w etyce Ochorowicza. Kółka etycznego na uniwerku zmontować się nie udało, z gimnazjalistami rozstałem się wkrótce, jak kura z kaczętami, co popłynęły na wodę (niekoniecznie głęboką i czystą). Tamci o wiele łatwiej decydowali się na wolnomyślicielstwo, wystarczyły im broszury zamiast traktatów; ja, czując dobrze, jak te różne „krytyki" podmywają tradycyjny zrąb dogmatów nie tylko religijnych, ale i moralnych, wczytywałem się w pisma dwóch Rosjan głęboko religijnych, Dostojewskiego i Włodzimierza Sołowjewa („Oprawdanije dobra", „Krytika otwleczonnych naczał"), i oczywiście więcej ukojenia znajdowałem u ostatniego, niż u pierwszego.

A cóż tymczasem Alma Mater Varsoviensis? Co będzie z moim prawem? Żem w ogóle wpisał się na nie, zawdzięczam to w dużej mierze koledze gimnazjalnemu Karolowi Lutostańskiemu, z którym zaprzyjaźniłem się pod koniec gimnazjum, a który miał wtedy bardziej od mnie rozwinięty zmysł społeczny, zaś jako syn poważnego prawnika (Seweryna, ostatniego Polaka w sądzie apelacyjnym), miał niejako we krwi pociąg do jurysprudencji i przekonanie, że prawo to jest wielka rzecz. Oczywiście nie prawo rosyjskie, ale prawo zachodnio-europejskie, w którego rozwoju także Polska wzięła udział. Przez cztery lata stanowiliśmy na wykładach, egzaminach i nawet na terenie Bratniaka parę prawie nierozłączną. Moich wzlotów „na szczyt własnej duszy" Karol L. zupełnie nie podzielał i kiedy ja reformowałem siebie, on w tych analizach i introspekcjach widział dziecinstwo: toż lepiej, bo przyjemniej reformować lub przemeblowywać świat otaczający. Od r. 1901/2 upatrywałem sobie innego przyjaciela, o aspiracjach artystycznych i filozoficznych, też zresztą na wydziale prawa, w osobie Bogdana Nawroczyńskiego; nie zżyłem się z nim zresztą bliżej, bo miał on sporo ideologii zetowej, a obok tego skłonność do wolnomyślicielstwa, a ścieżki życiowej dopiero szukał.

Słowem, wobec studentów U. W. z małymi wyjątkami zachowałem dystans, inaczej, niż było w gimnazjum. Matadorzy Bratniaka trochę mnie razili z góry powziętym (tj. przez Ligę Narodową podyktowanym) nastawieniem. Ogół „jurystów" to była taka sama szarzyzna, jak ich koledzy galicyjscy. Już był ukończył studia J. Kucharzewski, podobnie jak medyk Stefan Dąbrowski; przekonania oddalały mnie od Józefa Dąbrowskiego (Grabca), Barlickiego i innych spójniaków.

Na profesorów patrzyło się nieufnie i sceptycznie. Teodor Dydyński, romanista, choć uczeń Iheringa, trzeba to wyznać, kompromitował resztkę polskiej profesury. Henryk Struve Świętochowskiemu zawdzięczał reputację skostniałego umysłu, na czym nadmiernie cierpiał autorytet naukowy tego pracowitego, zacnego człowieka. Wśród Rosjan Teodor Zigel tak był zadowolony ze swej wyjątkowej pozycji, jako profesor historii prawodawstw słowiańskich (nie wiem, czy gdzie indziej istniała taka katedra), że nie chciał psuć sobie sławy produkcją naukową i prawie nic nie pisał. Za to w swych miodopłynnych, majestatycznych, śpiewnych wykładach roztaczał przestudiowane kiedyś systemy socjologii Comte'a, Spencera, Lilienfelda, Schäffiego, świadczył się Palacky'm, Jireckiem, Celakovsky'm, Pawińskim, Piekosińskim i Balzerem, a z praw powszechnej ewolucji wywodził jako nieuniknione, niecofnione następstwo — upadek dawnej Polski. Statystyk i ekonomista Simonienko zalecał młodzieży „predusmotritielnost" w stosunkach z kobietami, aby nie mnożyć proletariatu; zgodnie z Różą Luksemburg wykazywał organiczny związek Kongresówki z Rosją, ale zresztą z marksizmem polemizował.

Przeciwnie, po marksistowsku interpretował upadek Rzymskiego Imperium szanowany, ale fatalnie wykładający historyk Dymitr Pietruszewskij. Postrachem fakultetu był Aleksander Błok, równie jak Zigel uczony a nieprodukcyjny, spoglądający na doktryny zachodnie z wyżyn religijnej idei caro- i prawosławia. Zdaje się, że go okrzyczano przesadnie: był to bądź co bądź ojciec poety Błoka i pierwszy mistrz Askenazego. Ponieważ Błok już był na wykończeniu, zastępował go docent Gorbunow, liberał-zapadnik, cóż kiedy miernych zdolności. Aleksandrenko był rzemieślnikiem prawa międzynarodowego (o prawie narodów się w Rosji nie mówiło). Gorb-Romaszkiewicz wykładał antypatyczne prawo finansowe. Staruszek Leontowicz, nie bez własnego dorobku — prawo ruskie, młody Taranowskij ogólną teorię i encyklopedię prawa, w oparciu o teorię Petrażyckiego. Inni mogli dla mnie nie istnieć. Przyszli adwokaci i rejenci słuchali prawa cywilnego, karnego, procedury cywilnej i karnej, medycyny sądowej i psychiatrii. Ja tych przedmiotów podkuwałem się tylko do egzaminów.

Ponieważ każdy student na początku roku akademickiego musiał sobie obrać specjalność, więc ja na dwa lata zaciągnąłem się w cugi Zigla; później nie uląkłem się Błoka; dla zarobku redagowałem kurs (skrypt) Gorbunowa (1901-2), a ułożywszy z Lutostańskim olbrzymią (w 223 §§) Ustawę o wydawaniu kursów, zdobyłem z wyboru redaktorstwo... procedury karnej. Godząc przyjemne z pożytecznym, referowałem na „praktycznych zajęciach" u Zigla dzieła Pawińskiego o sejmikach, rządach sejmikowych i skarbowości. Pod wpływem Gorbunowa zaciekawiłem się życiem konstytucyjnym Zachodu, a Błok nie zraził mię wcale do teoryj politycznych. Co najważniejsze i co trzeba bezstronnie stwierdzić, Zigel najskuteczniej rozszerzał nam horyzonty i uczył patrzeć w dzieje „głębiej" (pogłubże).

Z boku oddziaływała na tę naszą oficjalną naukę — nauka polska. Mówiło się nieraz o potrzebie kontroli ze strony naszych badaczów nad tym, co nam z katedr podawali do wiadomości profesorowie w granatowych frakach, ale sfery kierownicze Bratniaka nie umiały jakoś zrealizować tej myśli. Za to od roku 1900 wychodził staraniem Stanisława Michalskiego nieoceniony „Poradnik dla samouków". Tamtędy oświecali nas po części uczeni radykalnego zabarwienia: Mahrburg, Nałkowski, Krzywicki, Posner, po części humaniści bez określonej tendencji społecznej: K. Appel, J. K. Kochanowski, T. Korzon, S. Askenazy. Wyczytaliśmy tam z Lutostańskim zachętę do tłumaczenia na polskie dzieł historyczno-prawniczych, takich jak „Wstęp do badań historycznych" Langlois & Seignobos, „Kwestia wschodnia" A. Sorela (te próby spaliły na panewce) oraz prawniczych: Fryd. Pollocka krótkiej historii doktryn politycznych oraz A. Esmeina „Elements du droit constitutionnel". Sir Frederick Pollock na nasze zapytanie odpisał, że już jakiś Mr. Tom ma od niego pozwolenie na przekład. Esmein zgodził się bez trudności. A ponieważ p. Salomon-Stanisław Posner przyjął z zachwytem naszą wspólną gotowość i zapewnił, że wyda przekład jako dodatek do tygodnika „Ogniwo", więc rozdarliśmy oryginał na dwie części, Karol wziął się do pierwszej, ja do drugiej. Poprawiony kolegialnie tekst I tomu był gotów w roku 1903, kiedyśmy ukończyli studia.

Ale i tłumaczenie fragmentów Pollocka wyszło mi na dobre. Uderzyły mię w nich bystre wywody Burke'a na temat genezy prawa większości. Postanowiłem tym kluczem otworzyć dziwną zagadkę naszego liberum veto. Po trosze z klucza zrobił się cały pęczek, a z sejmików Pawińskiego przerzuciłem się do Actów Tomicianów, potem do diariuszy sejmowych, — i powstała praca ponad seminaryjna, przyjęta z uznaniem przez prof. Zigla, potem także przez strasznego Błoka, jako rozprawa kandydacka. Zigel nie poskąpił mi na kredyt komplementu: „U was czrezwyczajnaja głubina myslej". Tego mi nikt w tajnym kółku nie powiedział... Pochwała Zigla była nie bez ogródki: „jak na takiego młodego badacza". Bądź co bądź Korzon ani się spostrzegł, jak wlazłem między źródła.

Zresztą czcigodny mój mistrz oddał mi koło tego czasu inną przysługę. W gorącym maju 1901 r., wychyliwszy się z nadobłocznych doktryn etycznych, spojrzałem na obszar gnuśności zalany odmętem — i zauważyłem powabną osobkę z Brześcia rodem, którą mi bardzo zachwalał mój główny „syjamski przyjaciel. Gdy przyjechała po raz drugi w grudniu, wplótł mi się jej obraz w muzykę z „Tannhäusera" i „Walkirii"; byłem już frenetycznym wagnerzystą, i gotów byłem (zwłaszcza d l a n i e j) wystawać w ogonku przed kasą teatralną nawet w ciemności, bez lektury w ręku. Niestety, zauważyłem i to, że panna Andzia przygląda się w bibliotece memu koledze S., który górował nade mną wzrostem i fizjonomią i nawet produkcją naukową (już go widziano za szybą księgarską). Osóbka piękna i groźna jak płomień po kłótni z mymi kuzynkami wyleciała aż do Kazania, a mnie pozostał całkiem modernistyczny nouveau frisson.

„Satans Weib", nazwałem bohaterkę krótkotrwałego spięcia i postanowiłem ją spalić na stosie wściekłej pracy. Teraz i ja coś wydrukuję — postanowiłem i pobiegłem do Zamoyskich ofiarować Korzonowi swe pióro dla Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej. Właśnie po czyjejś odmowie czy wycofaniu się redakcja kłopotała się, kto jej napisze artykuł o dziejach Irlandii. Obiecałem to zrobić w przepisanym terminie miesiąca. Korzon dał kilka rad i książkę O'Rourke'a, a po dalsze wskazówki skierował mię do naczelnego redaktora, Stanisława Krzemińskiego. Ów zaczął dyktować bibliografię: Cobbett, O'Connor, Blackstone... „Przepraszam, o jakie tu chodzi dzieło Blackstone'a"? Jaak to? Pan nie zna Blackstone'a i chce Pan pisać o Irlandii? Zrobiło mi się nieswojo. Wiedziałem, że Blackstone pozostawił klasyczne dzieło: „Komentarze do konstytucji", ale angielskiej, nie irlandzkiej... Ów Cobbett, antypatyczny detraktor Kościuszki, też nie na wiele się przydał.

Zaczęła się w domu praca nad pouczającą książką Connor'a i nad O'Rourkiem. Wstawałem o 6-tej rano i wiersz po wierszu zdobywałem angielski tekst, znacząc kropkami na marginesie miejsca niezrozumiałe, aby je później rozgryzać. Walkiria i Tannhäuser akompaniowali mi w uszach w tej robocie. Na ósmą jechałem do uniwersytetu, gdzie dzięki koniunkturze karnawałowej opanowałem na swój wyłączny użytek lektorów angielszczyzny i włoszczyzny („ingiustissimo amor, perchesi raro corrisponenti fai nostri voleri?"). Po dwóch tygodniach kropki na marginesie stały się rzadkością, a na początek lutego sążnista „Irlandia" była gotowa. Jeszcze kilka tygodni — i ujrzałem siebie w druku. Odtąd sypałem do Encyklopedii różnych Jakubów, Jerzych, Karolów, Leszczyńskich, Lubomirskich, Małachowskich — aż do wybuchu wojny światowej. Przy okazji poznałem i nauczyłem się uwielbiać „Dictionary of National Biography".

Jedna lekka przygoda sercowa otworzyła mi sezam wewnętrznej rozbudowy, druga, jeszcze lżejsza, od filozofii, psychologii, poezji zwróciła mię znów ku historii — i kazała tworzyć.

III.

Kończyłem uniwersytet jako jeden z czołowych 5 - 6 kandydatów nauk prawnych i politycznych, co mniej więcej odpowiadało dzisiejszemu stopniowi magistra, a nawet może dawnemu galicyjskiemu „dr Juris". Przez tłumaczenie Esmeina mocno się wgryzłem w świat pojęć konstytucyjnych, co więcej, stałem się ich wyznawcą. Demokracja parlamentarna — to była moja dewiza. Na wiek XX patrzałem oczyma Seignobosa, którego polski przekład wraz z innymi książkami o tendencji postępowej szerzył wśród nas za pośrednictwem Lutostańskiego nikt inny, jak Zygmunt Wasilewski, przyjaciel Dmowskich i Balickich. Nic dziwnego, że i ja swój zachodni liberalizm umiałem godzić z sympatią do narodowców i antypatią do socjalistów tej Spójni. Mianowano mię nawet dożywotnim członkiem warszawskiego Bratniaka. Pod względem naukowym Esmein mi nie wystarczał: zgłębiwszy Jellinka „Recht des modernen Staates", otaksowałem Francuza jako dogmatyka o dosyć ciasnych horyzontach i nieuporządkowanej systematyce pojęć. Tenże Jellinek na równi z Jerzym Simmlem wycisnęli niejakie piętno na moim sposobie ujmowania zjawisk prawnych i społecznych.

Na życzenie Rodziców wpisałem się u adwokata Krypskiego na „pomocnika" (p. adw. przys.) czyli praktykanta, z mocnym postanowieniem niepraktykowania, chyba gdybym nie miał co jeść. Zigel zaproponował mi coś na kształt asystentury („ostawlen pri kafiedrie"); w tej formie miał niby uniwersytet warszawski hodować sobie narybek, taka jednak asystentura nie nakładała obowiązków żadnych, bo seminariów ani bibliotek przy poszczególnych katedrach nie było. Korzyść redukowała się do pobierania stypendium z polskich funduszów społecznych, ale nawet o odroczeniu służby wojskowej nie mogło być mowy.

Oczywiście miałem wstąpić do wojska w charakterze jednorocznego ochotnika, jako „wolnoopredielajuszczisia". Wybrałem artylerię, III brygadę gwardii (tę spod Ostrołęki...) Lutostański się uwolnił za tysiąc rubli, ja nie chciałem Ojca narażać na taki wydatek, a wiedziałem, że się zahartuję i wytrzymam, bom „niepołomek".

Jakoś bezpośrednio przed tym, a może jednocześnie ze wstąpieniem do brygady, zaznajomiłem się — bodaj przez pośrednictwo Korzona — z Szymonem Askenazym. Więc to tak wygląda ten pan o dziwnym nazwisku, którego „Königswahl" kupiłem sobie jeszcze w gimnazjum, a którego „Dwa stulecia" i „Przymierze polsko - pruskie", tak jakoś wykwintnie pisane, z podziwem czytałem później. Cienki, długi, z lekka pochylony, wpadał do biblioteki uniwersyteckiej na krótko, dość głośno żądał książek, wodził jednym okiem i długim nosem po książkach na odległość 15 cm od papieru, niby widział ludzi, niby nie widział, na pół ślepy, a tak przenikliwy i jasnowidzący, w polemikach zwycięski, cięty jak wyżeł czy chart wśród kundli...

Gdym przyszedł doń na ulicę Włodzimierską (później: Czackiego), przywitał mnie uprzejmie i na moją propozycję, że chcę być współpracownikiem „Monografii w zakresie dziejów nowożytnych", dał do wyboru epokę Księstwa Warszawskiego, Królestwa, albo saską. Wybrałem ciemny zmierzch Augusta III i mistrz pochwalił ten wybór: najważniejsze są, mówił, „epoki, w których na pozór nic się nie dzieje, kiedy naprawdę dojrzewają wielkie przemiany". Potem u Zamoyskich podyktował mi do przewertowania szereg Zeitschriftów i obiecał, że na podróż naukową do obcych archiwów da mi listy polecające. Literaturę monograficzną wynotowałem sobie z „Königswahl" i Finkla, zaopatrzyłem się w księgi i rozpocząłem służbę w brygadzie.

Wieczory w domu były dla mnie; ale umiałem i w dzień coś sobie notować na placu koszarowym i na warcie przy prochowni wyciągać ukryty w zarękawku „Contrat social" Rousseau'a, albo „Geschichte des Siebenjährigen Krieges" Arehenholtza, a na noc podczas niesłusznie tak zwanego „dniewalstwa" w niemożliwie cuchnącej sypialni obkładałem się przy stoliku i lampce naftowej Arnethem, Vitzthumem, polityczną korespondencją Fryderyka II. Brzęczą ostrogi. Wchodzi oficer inspekcyjny. Na równe nogi, na baczność: „Wasze błagorodie, w tretjej batareji lejb gwardji tretjej artillerijskoj brigadie we wremia dniewalstwa nikakogo proisszestwija nie słucziłoś. Na wieczerniej pierekliczkie ludi byli wsie". Szust nogami w bok. Oficer ospale spoziera na Fryderyka i odchodzi. W takiej to a t m o s f e r z e rodziła się „Polska w dobie wojny siedmioletniej".

Aż tu 9 lutego 1904 r. wybuchła inna wojna — na Dalekim Wschodzie. „Nasz gosudar wielel japonskago wraga stieret s lica ziemli" — ogłosił szef brygady, hr. Barancew, na odprawie wszystkich baterii. Dobrze, ale co będzie z moją Siedmioletnią? Rodzice zrobili rozpaczliwą próbę, żeby mnie od tego posłannictwa uwolnić. Już i 2.600 rubli nie wystarczyło. Językoznawca Władysław Taczanowski nie ocalił rosyjskiej ojczyzny, choć dostał kulkę karabinową w wypukłe czoło, a ja miałbym ocalić? Mamże opisywać genialny plan dra A. Fabiana, kiepskie proszki, co miały wywołać szmer w sercu, moją świetną improwizację w kawiarence, parotygodniowy pobyt w szpitalu wojskowym na Cytadeli, z lekturą niecenzuralnego „Sejmu Czteroletniego" Kalinki, z nielegalnej biblioteki kółka gimnazjalnego, „vivium cordis" na tabliczce nad moją głową, zakulisowe imbroglio — i niebywały tryumf wojskowej medycyny nad moją organiczną wadą serca? To chyba nie należy do wewnętrznego rozwoju młodego historyka.

(Dokończenie na str. 5)

CZESŁAW CHOWANIEC

HISTORYK POLSKI NIEPODLEGŁEJ

I.

Dnia 13 lipca 1952 r. zmarł w Młyniku pod Krakowem prof. Władysław Konopczyński w 72 roku życia. Naród polski stracił z jego zgonem gorącego patriotę i wielkiego obywatela. Nauce polskiej ubył uczony wielkiej miary, który swym dziełem i czynem naukowym zapisał się na trwałe w jej kartach. W przełomowym momencie zaciętego boju o wyraz polskiej kultury, wypada z szeregów walczących żołnierz, który do ostatniej chwili stanowiska swego nie opuścił. Nie ma zwyczaju przemawiać nad grobem poległych, gdy walka trwa. Ciężko jest pisać wspomnienie o człowieku, który żywo stoi w pamięci wszystkich; trudno układać życiorys historyka, który z biografji narodowej uczynił najistotniejszy może wyraz analizy i konstrukcji historycznej. Zanim jednak oddalenie czasu pozwoli na zebranie dokumentacji niezbędnej do skreślenia biograficznej sylwetki prof. Konopczyńskiego, niech mi będzie wolno, jako jednemu z jego uczniów, dać parę uwag, rzucić kilka aspektów, które może ułatwią przyszłemu biografowi określenie miejsca, jakie Władysław Konopczyński zajął w dziejach polskiej historiografii.

Z całej galerii pisarzy historycznych, którzy od czasów Naruszewicza przesunęli się w dziejach naszej literatury, Lelewel i Szujski byli mu najbliżsi. Bynajmniej nie przez idee polityczne, ale przez temperament pracy historycznej i skalę zainteresowań naukowych. To podobieństwo psychologiczne musi ulec zróżnicowaniu, gdy zestawimy epoki, w których działali. Lelewel występujący na tle Polski kongresowej i emigracyjnej i Szujski działający w czasach po klęsce styczniowej i w ramach odrodzenia galicyjskiego nie mogli jednak równać się z człowiekiem, który życiem swym i doświadczeniem historycznym sprzągł się z wypadkami trzech jakby epok dziejów, tej, rozbiorczej sprzed 1914 r., tej, która Polskę niepodległą z powrotem widziała i tej, jaka nastała po klęsce wrześniowej 1939 r. Tak samo jak w życiu osobistym—ta trójokresowość zaważyła również i na dziele naukowym prof. Konopczyńskiego; pogłębiła eksperymentalnie wnikliwość metody badania historycznego, zainspirowała drogi i kierunki pracy naukowej, rozszerzyła horyzonty obserwacji. Pozwoliła tym samym na jak najpełniejsze wypowiedzenie się jego możliwościom dziejopisarskim. Zbadajmy więc rozwój działalności prof. Konopczyńskiego, idąc tymi etapami jego życia i starajmy się sprawdzić, jak wpłynęły one na utrwalenie jego dzieła historycznego.

II.

Pierwszy okres to czasy młodości i pierwszych lat męskich, przed I wojną światową. Wstępuje on właściwie na drogę dziejopisarską stosunkowo późno. Urodzony 26 listopada 1880 w Warszawie, kształci się w atmosferze ucisku apuchtinowskiego, zamieszań przedrewolucyjnych i samoobrony polskiej wobec terroru rusyfikacyjnego. Te lata szkolne, gimnazjum Górskiego i Filarecji, uniwersytetu warszawskiego i tajnego Bratniaka dają mu nie tylko dyplom kandydata praw, ale i głębokie wykształcenie humanistyczne, zdobyte gorliwym smokształceniem, oczytaniem i szeroką skalą zainteresowań. Od wczesnej młodości ujawnił skłonności ku studiom historycznym. Trudno dziś dociec, skąd wyszła pobudka, która ukończonego prawnika, mającego za sobą drukowany przekład „Prawa konstytucyjnego" Esmaina popchnęła na drogę studiów historycznych. Czy była wyrazem osobistej inicjatywy wywołanej lekturą dzieł historycznych Korzona, Smoleńskiego, Rembowskiego i innych, czy wyszła z zachęt i kontaktów osobistych z ówczesnym środowiskiem uczonych warszawskich ze Smoleńskim i Kochanowskim na czele, czy oddziałały przygodne kontakty z Askenazym, którego apele z 1900 r. wzywające do studiów i pracy nad dziejami nowoczesnymi i rozpoczęta w 1902 r. seria monografij nowożytnych robiły wrażenie — dość, że ok. 1903 r. formuje się w postanowieniach młodego Konopczyńskiego decyzja zajęcia się poważnego studiami nad dziejami wieku Oświecenia. Pociąga go najciemniejsza epoka upadku saskiego, owa tajemnicza, przez nikogo jeszcze nie zbadana połowa XVIII w., lata najgłębszego upadku Rzeczypospolitej.

Z wrodzonym sobie optymizmem pragnie spróbować, czy w tym mroku doby saskiej już świt jakiś nie może być dostrzeżony. Podejmuje pracę pod tytułem „Polska w dobie wojny 7-letniej", która staje się odtąd ośrodkiem jego zainteresowań naukowych i punktem wyjścia dla dalszej kariery historycznej.

„Autor obrał sobie za przedmiot wykładu ostatnie 7-lecie panowania Augusta III — pisał Askenazy. — Zadanie obszerne i doniosłe, gdyż mieści się tutaj zarazem i bilans końcowy całej blisko 70-letniej epoki saskiej i preliminarz wstępny do rządów ostatniego króla... do ostatnich wysiłków, wstrząśnień i przepraw śmiertelnych Rzplitej. Zadanie trudne i skomplikowane nadzwyczajnie, gdyż dwie zgoła odrębne a przecież nierozłącznie ze sobą splecione kategorie zjawisk i zagadnień wypadło tutaj ściśle równolegle i dopełniająco mieć ustawnie na oku: obok strony wewnętrznej pokojowego bytowania Polski w tym 10-leciu wypadało ciągle mieć na uwadze stronę zewnętrzną tego współczesnego zbrojnego przesilenia międzynarodowego... jakim była wojna 7-letnia...".

Zacytowałem charakterystykę tej pracy, gdyż ona najlepiej określi psychologiczne predyspozycje stawiającego pierwsze kroki historyka; podejmując swą pierwszą pracę historyczną, nie zawahał się wziąć na swoje barki olbrzymiego wysiłku wynikającego zarówno z arcytrudnych warunków badań i poszukiwań archiwalnych, jak z niezwykle skomplikowanego tematu utrudniającego syntezę.

Konopczyński rozpoczyna swe najpierwsze studia na ten temat już na przełomie lat 1903/4, zaczyna od wertowania i przeglądania archiwów warszawskich, a w 1904 r. z gotowym już planem wyjeżdża w swoją pierwszą naukową podróż za granicę, zaczynając — stosownie do sugestii Askenazego — od archiwów drezdeńskich, które stać się miały punktem wyjścia dla jego wszystkich późniejszych tak sławnych podróży archiwalnych. Ten **archiwożerca**, jak go potem żartobliwie nazywać będą koledzy lwowscy, po wyczerpaniu Drezna w latach 1905/6 przeprowadza głębokie sondaże biblioteczno-archiwalne w Berlinie i Wiedniu, w Kopenhadze, Paryżu i Londynie, osiada na jakiś czas w Krakowie, nawraca do Warszawy i w 1907 r. zawija do Lwowa, gdzie obok pracy archiwalnej i z zaawansowaną już pracą zbliża się do prof. Askenazego i do jego ośrodka badań historii nowożytnej przy Uniwersytecie Jana Kazimierza. Zostaje na parę lat (jak sam się wyraża) „współpracownikiem Szkoły Askenazego"... najpłodniejszy w całej tej grupie... najszerzej spełniał główny postulat szkoły, by szukać światła w dalekich nawet, trudno dostępnych archiwach...

Ten trzyletni pobyt we Lwowie (1907/9) jest dalszym stopniem w jego rozwoju umysłowym i życiu historycznym, jest też podsumowaniem dotychczasowych naukowych wyników jego pracy. Uzyskuje na wydziale Filozoficznym Uniwersytetu doktorat, wydaje pierwszą swoją większą pracę p.t. „Sejm grodzieński 1752 r." (1907), nawiązuje ścisłe stosunki z działającym tu Polskim Towarzystwem Historycznym, którego staje się członkiem i jak najaktywniejszym współpracownikiem, wreszcie wykańcza tu ostatecznie pod auspicjami Askenazego swoją pracę „Polska w dobie wojny 7-letniej" wydaje ją w Monografiach (I tom w 1909 r., II tom w 1911 r.). Przez to dzieło Konopczyński nie tylko zajął od razu mocne stanowisko wśród historyków ówczesnego pokolenia występując jako wybitny znawca i oryginalny pisarz epoki XVIII w., ale co więcej, wyraził on w nim własny program i plan dalszej pracy, sformułował własną metodę badania historycznego, własną koncepcję pracy nad dziejami Polski nowożytnej.

W tym samym czasie Konopczyński idąc metodą badania dwutorowego, t.j. rozplątując powikłania natury międzynarodowej, przy równoczesnym analizowaniu skomplikowanego procesu wewnętrznej polityki Rzplitej, nie zawahał się (na marginesie jakby tych badań) podjąć i innych prac w zakres zagadnień prawno-ustrojowych wchodzących. Pod koniec 1904 r. znalazszy się w Krakowie, opracowuje rzecz „O genezie Liberum Veto", uważając, że tylko dokładna diagnoza tej choroby czy nowotworu toczącego organizm Rzplitej pozwoli mu swobodniej kontynuować zasadnicze badanie. Studium to ogłoszone w 1905 r. w I tomie „Przeglądu Historycznego" zrobiło duże wrażenie, sprowokowało polemikę najwybitniejszych historyków prawa polskiego i otwarło w twórczości Konopczyńskiego nową drogę badań nad dziejami parlamentaryzmu polskiego, które kontynuować odtąd będzie przez ciąg życia. Tak to on, historyk polityczny o wykształceniu prawniczym, sformułował pewne prawdy metodologiczne dla historii ustroju polskiego, które wyprowadzają te badania z impasu, a jakie przeszły przez ściśle prawnicze rozumowanie.

Co więcej, Konopczyński zastanawiając się nad rzeczywistością wewnętrzno-polityczną Rzplitej z połowy XVIII w. pierwszy uwydatnił potrzebę powrotu do metody rozindywidualizowywania problemów społecznych i podkreślania roli jednostki w dociekaniu przyczyny wydarzeń. Swoje poglądy metodyczne na ten temat starał się sformułować w „Kwartalniku Historycznym" z 1910 r., w artykule p.t. „Do charakterystyki biskupa Sołtyka".

„Kryteria do oceny historycznych wartości poznawczych — pisze on wtedy — wynikają z uznania specyficznego charakteru tego kierunku wiedzy. Skoro historia jest nauką indywidualizującą, nie generalizującą, skoro przedstawia ma indywidualny, t.j. jednorazowy przebieg dziejów, a nie szukać praw ogólnych rządzących zjawiskami, więc też praca historyczna, pomijając drugi współczynnik wartości, t.j. wiarygodność, stoi tym wyżej, im intensywniej wnika w swoistą naturę przedmiotu... Jak historia pewnego społeczeństwa ma się do socjologii i nieistniejącego całokształtu dziejów ludzkości, tak samo życiorys ma się do psychologii i nieistniejącej jeszcze a zapowiadanej przez Ottona Weiningera biografii teoretycznej, t.j. nauki o całokształcie żywota ludzkiego... Musimy stwierdzić bez żadnych kompromisów, że biografia nie szuka w jednostce pierwiastków ogólnoludzkich, ani też niezmiennej zależności zjawisk: szuka li-tylko odrębnego **ja** w danej osobistości. Im intensywniej wniknie czytelnik w owo **ja**, im silniej będzie uderzony napoleońskim żywiołem w Napoleonie, mickiewiczowskim w Mickiewiczu, tym doskonalszą jest dana biografia...".

„(Ale) — pisze dalej — indywidualny całokształt życia jednostkowego nie miałby żadnej barwy, gdyby przedstawić go poza czasem i przestrzenią. Biografia bez tła dziejowego byłaby dziełem niedokończonym. Ona powinna wyrzynać się wyraziście z tła epoki; im jaskrawiej, wyraziściej wystąpią jej kontury, im rozleglejsze tło, im szczelniej przylega ono do konturów, tym doskonalszy będzie obraz...".

Pisząc to w 1910 r. Konopczyński nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób wykreślał sobie nowe drogi dla swej pracy naukowej, które zawiodą go kiedyś do „Słownika Biograficznego".

Następne lata tego okresu życia Konopczyńskiego, lata 1910-1916, właściwie były już tylko rozpracowywaniem zaznaczonych powyżej kierunków pracy naukowej. Kierunek główny, praca nad dziejami XVIII w., popchnie go z kolei, po ukończeniu badań nad wojną 7-letnią, do podjęcia studiów nad następną epoką, t.j. nad latami Konfederacji Barskiej. „W labirynt doby barskiej — pisał on potem — wszedłem z chaosu epoki saskiej, wiedziony pewnego rodzaju przywiązaniem badawczym do tych samych postaci, z którymi się zżyłem w dobie wojny 7-letniej".

Nic więc dziwnego, że wiedziony tą siłą fatalną kwerendy historycznej, zabiera się do tego nowego dzieła jeszcze we Lwowie w 1908 r., jak tylko oddał do druku poprzedni manuskrypt; prowadzi badania archiwalne w następnych latach w Krakowie i Warszawie, w 1910 r. wyjeżdża do Moskwy i Petersburga. Rok 1911 widzi go w Paryżu i Londynie, rok następny w Poznaniu, Berlinie, Dreznie, Marburgu, Wiedniu, Moskwie i Kijowie. Bije rekord pracowitości historycznej, wreszcie w 1914 r. kręci się na Słowaczyźnie szukając zakopanego ponoć archiwum Generalności Konfederackiej. Wojna światowa łapie go w Sztokholmie i przerzuca do Kopenhagi. Depce po śladach konfederatów barskich, zbiera i odtwarza rozproszone ich archiwa, jak archeolog z ziemi, tak on poprzez archiwa wszystkich stolic Europy toruje sobie ścieżki, zbiera nici wiodące go do przyczyn pierwszego rozbioru, który zarysowuje się z oddali jako następny — trzeci z kolei główny temat jego dzieła historycznego.

Lecz równocześnie nie zapomina i o dalszych kierunkach i innych tematach swej pracy. Wszędzie, gdzie tylko go rzuci jego archiwalna wędrówka, tam zaraz szuka śladów materiałów do parlamentaryzmu polskiego, tam szuka przyczynków do życiorysów narodowych, materiału do zamyślanego w najgłębszym zakamarku duszy słownika biograficznego polskiego. Więc pisze szkice biograficzne wybitniejszych postaci XVIII w., opracowuje monografię o Stanisławie Konarskim, zbiera źródła do życiorysu Kazimierza Pułaskiego. Równocześnie stoczywszy z Kutrzebą zaciętą polemikę na temat swojej genezy Liberum Veto, tę młodzieńczą pracę z 1905 r. pomnaża i rozbudowuje na pomnikowo-klasyczne dzieło pt. „Liberum Veto", oparte o tło porównawcze, które wydaje w 1918 r., wreszcie posuwając studia ustrojowe, ogłasza w 1917 r. równie poważne dzieło o „Genezie Rady Nieustającej", opierając je o historyczny rozwój instytucji parlamentarnej Senatu. Wydaje też diariusze sejmowe XVIII w.

Rok 1913 jest datą końcową dla jego stałych podróży archiwalnych. Osiada w Krakowie, który odtąd staje się kwaterą główną jego dalszej działalności naukowej. Korzystając z tego usadowienia się, daje inicjatywę założenia w Krakowie Oddziału Towarzystwa Historycznego i staje się jego długoletnim sekretarzem. Jest to pierwsza placówka naukowo-społeczna naszego uczonego i staje się dlań jakby odskocznią do żywszej aktywności na innych polach, które dla jego bogatej w możliwości działania natury staną się odtąd właściwą wykładnią pracy historycznej odpowiedniej do czasów, jakie dla narodu polskiego nastały.

III.

Pierwsza wojna światowa stała się w życiu Konopczyńskiego jakby nowym okresem dla działalności historycznej. Wróciwszy do Krakowa z początkiem 1916 r. ze Szwecji, gdzie przetrzymały go przez kilkanaście miesięcy wypadki wojenne i wobec perspektywy, jakie otwierać się poczęły w Europie dla niepodległości Polski, zdaje on sobie sprawę, że powinien pracę swoją historyczną przestawić na inne tory działania.

W jego koncepcji historia nie była wiedzą abstrakcyjną, oderwaną od rzeczywistości życia, przeciwnie, była ona ważnym elementem kształtowania świadomości narodowej; zadania zaś historyka nabierały znamion pewnego jakby posłannictwa wobec narodu, zwłaszcza wobec pokolenia, które tę niepodległość wywalczyć i utrzymać miało. W tych warunkach Konopczyński rozumiał, że obowiązkiem jego jest wystąpić czynnie. Trzy aspekty rozróżniał on w tej czynnej pracy historyka:

a) oddziaływanie słowem i pismem na tę świadomość polską a przez interwencję swoją wpływanie na dodatnie przeobrażanie się tej świadomości w obliczu dokonywujących się przeobrażeń politycznych,

b) przygotowanie nowego pokolenia historyków do pracy w nowej **wolnej** ojczyźnie,

c) wpływanie swoją inicjatywą celem przystosowania nauki historycznej polskiej do nowych potrzeb, jakie wyłonią się dla niej w Polsce odrodzonej.

W takich mniej więcej ramach da się uchwycić i zrozumieć sens jego działalności, jaką ujawniać począł po przybyciu do Krakowa w latach 1916-1921. Pracę jego ułatwiły habilitacja i uzyskanie w 1917 r. katedry historii polskiej na U.J., osieroconej przez śmierć Stanisława Krzyżanowskiego.

W takiej intencji rozpoczyna w 1916 r. pracę w Oddziale krakowskim P.T.H., w ramach którego na wiosnę 1917 r. urządza słynny cykl odczytów p.t. „Przyczyny upadku Polski".

Wygłasza szereg odczytów: „Jak żyliśmy w Unii z Litwą", „Hasła kościuszkowskie", „Bar i Maj", a przede wszystkim wykład inauguracyjny przy objęciu katedry historii polskiej w styczniu 1918 p.t. „O wartość naszej spuścizny dziejowej". W prelekcjach tych idzie mu o przezwyciężenie w umysłach pokolenia pewnego kompleksu psychologicznego wobec naszych dziejów, wskazanie społeczeństwu ścieżki prawdy między pesymizmem wobec przeszłości a optymizmem, ścieżki, która jedynie może dać umysłom Polaków należyte przygotowanie do przyjęcia niepodległości, do realizowania nowych zadań z tą niepodległością związanych.

Tą tendencją ożywiony był, gdy wydawał właśnie w tych gorących dniach 1917 r. swoją książkę „Geneza i ustanowienie Rady Nieustającej", tej „pierwszej u nas nowożytnej, po europejsku urządzonej administracji naczelnej" — za Stanisława Augusta, którą rzuca na ekran jakby porównawczy z Radą Stanu i Radą Regencyjną. Tą intencją był ożywiony wydając w początkach 1918 r. znakomite studium „Liberum Veto".

„Pisałem tę książkę dla ludzi myślących i pragnących myśleć — kreślił we wstępie. — Pisałem bez żadnej tendencji politycznej ani społecznej... Czasy nasze są poważne i wymagają trzeźwego porachunku z przeszłością. Za dni apuchtinowskich w Królestwie, w chwilach największego ucisku i depresji trzeba było przede wszystkim zwalczać w sobie przesadny pesymizm, pielęgnować w sercu polskim cześć dla tradycji narodowych... Dziś chodzi o co innego, chodzi o mądrą budowę państwa. Budowniczym nowej Polski przystoi pogląd na dzieje surowy a sprawiedliwy, ścisły a nieubłagany, taki właśnie jaki przyświecał epoce Sejmu Czteroletniego i Księstwa Warszawskiego".

Z tą tendencją wyjeżdżał z końcem 1918 r. do Paryża w składzie Komitetu Naukowego do prac kongresowych.

Historyk, który z takim poczuciem wchodził w nową rzeczywistość Polski Odrodzonej, nie mógł również dalszej swojej działalności po 1920 r. zamknąć wyłącznie w ramach pracy archiwalno-badawczej. Odsuwa ją odtąd na plan drugorzędny, a sam z całym temperamentem swej bogatej indywidualności rzuca się w wir pracy historycznej bardziej zbliżonej do życia; jako historyk-obywatel staje do apelu na tych wszystkich odcinkach, na których głos i czyn historyka mógł być pożyteczny. Staje się historykiem Polski Odrodzonej w swym niepodległym bycie państwowym. A odcinków tych, wymagających pracy doświadczonego historyka, było niezmiernie dużo.

Trudno jest w jednym artykule wspomnieniowym wchodzić w całą głębię tego problemu. Poruszać szczegóły, to otwierać nowe rozdziały dużej biografii. Zaledwie można w tym miejscu punktami zwrócić uwagę czytelnika na te odcinki jego działalności, która wypełniać będzie lata 1918 - 1939.

Przede wszystkim jako profesor na katedrze historii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, tej najstarszej wszechnicy narodowej na ziemiach polskich, rozpoczyna głosić ustnie swoją wiedzę o naszych dziejach. Przez 22 lata będzie padał z katedry mu powierzonej głos historyka o wielkiej inteligencji i szerokiej wiedzy, który przez wieloletnie osobiste badania nad najdonioślejszymi zagadnieniami dziejowymi Polski i znakomite doświadczenie porównawcze umiał znaleźć klucz do zrozumienia tych dziejów w nowej, niepodległej rzeczywistości odrodzonego Państwa. Przeglądając coroczne programy jego wykładów uniwersyteckich uderza nas ich bogactwo w treści, ich harmonia w układaniu całości tego wspaniałego i nigdy niewyczerpanego przedmiotu, jakim są dzieje Polski nowożytnej, przedstawianej na płaszczyźnie międzynarodowej w całym kompleksie powiązań jej polityki państwowej jako mocarstwa europejskiego, w całym splocie zagadnień w dziedzinie polityki wewnętrznej. Realizował w tych wykładach program zakreślony w swoim słynnym wykładzie inauguracyjnym z dnia 16. I. 1918 roku, p. t. „O wartość naszej spuścizny dziejowej" i we wstępie do „Liberum Veto". Głos jego docierał do serc młodzieży, która tłumnie wypełniała salę wykładową, a również rozchodził się szeroko i trafiał do szerokich mas społeczeństwa poprzez publiczne odczyty, pogadanki i artykuły w prasie, przestawiając tego pokolenia pojęcia historyczne, w dobie rozbiorów ugruntowane, na tory nowego zrozumienia godnego nowej rzeczywistości Polski Niepodległej. Na seminariach historycznych, które prowadził i które stały się pewnego rodzaju ośrodkiem badań dziejów nowożytnych przy U. J., zorganizowanym na wzór i w tradycjach seminariów Askenazego, przyciągając najwartościowsze elementy naukowo pracującej młodzieży, starał się wykształcić kadry przyszłych historyków dla Polski Niepodległej. Kadry te, może nieliczne, z uwagi na poziom seminarium i wymogi, w większości swej nie zawiodły mistrza, gdy lata próby nadeszły.

Drugą dziedziną jego działalności tego okresu były usiłowania w zakresie reorganizacji polskiej nauki historycznej i dostosowanie jej do poziomu wymogów nauk historycznych Zachodu, do potrzeb i zadań, jakie wynikły dla historii z faktu odbudowania polskiej niepodległości. Rozpoczął walkę przede wszystkim o szybką realizację całego szeregu postulatów.

„Najwybitniejszym i najbardziej swoistym przejawem ducha polskiego w dziedzinie życia państwowego był nasz odwieczny parlamentaryzm — pisał w 1917 r. — parlamentaryzm w istotnym sensie tego wyrazu, występujący od XVI do XVIII wieku w czworakiej postaci (sejmu, sejmików, senatu, konfederacji). Na tych zgromadzeniach kształciła się w dobie nowożytnej nasza świadomość polityczna, a samodzielne ich wytworzenie daje nam główny tytuł do indywidualnego miejsca wśród narodów Europy...".

„Prace konstrukcyjne nad parlamentarną stroną naszego ustroju, dziś niestety spóźnione co najmniej o pół wieku, winny wyprzedzać zdwojone wydawnictwa źródeł... chcąc atoli żywo pchnąć naprzód te ostatnie, należy skatalogować materiał rozproszony w archiwach".

Stąd od 1916 r. podejmowane zostają apele i zabiegi nad sporządzeniem we wszystkich dzielnicach i miastach Polski (głównie siłami młodzieży akademickiej, a pod auspicjami Towarzystwa Naukowego Warszawskiego) „Katalogu aktów do dziejów polskiego parlamentaryzmu", które w latach 1917-1922 doprowadziły przy poparciu Kasy Mianowskiego do zebrania repertorium-kartoteki zawierającej ponad 17.000 pozycji katalogowych, zasadniczy punkt wyjścia do dalszych prac na ten temat.

Do największych zaniedbań polskiej nauki historycznej zaliczał on fakt, że aż do czasów niepodległości nie zdobyła się ona na syntetyczne podsumowanie dotychczasowych badań nad dziejami Polski. Podsumowanie takie widział prof. Konopczyński w postaci wielotomowego „Zarysu historii polskiej", zredagowanego zbiorowymi siłami najwybitniejszych specjalistów, na wzór podobnych wydawnictw w innych krajach Europy. Postulat ten, sformułowany ongiś przez Finkla na zjeździe historyków 1900 r., podejmuje więc na nowo Konopczyński w 1916 r., przygotowuje program tego zbiorowego dzieła (10 tomów do 1795 roku), dokompletowuje współpracowników, uzyskuje pomoc wydawniczą i przez cały czas, aż do 1939 r., będzie wołać i przypominać konieczność urzeczywistnienia tego obowiązku, dając ze swej strony przykład, pisząc i uczestnicząc swoim współpracownictwem we wszystkich tego rodzaju wydawnictwach, które na mniejszą skalę projekt ten zrealizować usiłowały.

Trzecim wreszcie ulubionym zamierzeniem, które dzieckiem swego życia uczynił, była sprawa tzw. Biografii Narodowej, zrodzona jak widzieliśmy w pierwszym okresie jego życia naukowego, a którą również stara się na porządek dzienny postawić w latach niepodległości. Podnosi ten postulat na forum publicznym w „Przeglądzie Warszawskim" w 1922 r., zrazu w formie nieśmiałej, nie śmiąc wierzyć, czy stać nas będzie na wydanie wielkiego słownika biograficznego według wzorów europejskich i radząc zacząć od wydawnictwa biblioteczki życiorysów. Powraca do tej myśli w 1929 r. z okazji 10-lecia niepodległości, niezmordowanym wysiłkiem i perswazją doprowadza do tego, że 28 stycznia 1931 r. Akademia Umiejętności uchwala podjąć się wydawnictwa, powierzając mu naczelną redakcję całego dzieła. W 1935 r. pojawia się pierwszy zeszyt Słownika, który natychmiast wysunie się na czoło wszystkich przedsięwzięć naukowo-wydawniczych Polski Odrodzonej.

Te wyżej cytowane przykłady nie wyczerpują zagadnienia, nie zamykają listy prac, które Konopczyński w okresie tym usiłował zapoczątkować na płaszczyźnie prac zbiorowych. Wiemy np. o Programie prac historycznych, z którym w 1921 r. wystąpił na terenie Komisji Historycznej P.A.U., pragnąc tę poważną placówkę Akademii ożywić i zgodnie z jej tradycjami uczynić ośrodkiem organizacyjnym planowej, długodystansowej pracy polskich nauk historycznych. Projekt nie znalazł zrozumienia. Znamy dobrze jego projekty wielkiego źródłowego wydawnictwa polskich traktatów międzynarodowych, które sformułował w 1919 r., ale które, mimo pełnego aplauzu i zrozumienia, przez dwadzieścia lat będzie kiełkować i rozwijać się, zanim znajdzie początek realizacji po drugiej wojnie światowej.

Ze wszystkich tych jednak inicjatyw i realizacyj naukowych, bez względu na ich wartość i doniosłość, do najdonioślejszych w dziele Konopczyńskiego tego okresu zaliczyłbym to wszystko, co wykonał w zakresie geograficznego umieszczenia dziejów Polski w Europie. Był on bowiem chyba jednym z najpierwszych, który zarówno w świadomości pokolenia Polski Odrodzonej, jak i w świadomości cudzoziemców, historię Polski z wyżyn abstrakcji ściągnął na ziemię i włączył do geopolitycznego kompleksu nowoczesnych dziejów Europy. Pokazał nam Polskę w problemie bałtyckim, zwrócił uwagę, że była ważną częścią i współczynnikiem zagadnień czarnomorskich i tzw. kwestii wschodniej, że rozsiadłszy się dzięki Unii Jagiellońskiej na międzymorzu bałtycko-czarnomorskim i w węźle dróg między Europą a Azją, była czynnym lub biernym elementem polityki europejskiej, który zasadniczo kształtował nasze życie międzynarodowe i naszą polityką europejską.

(Dokończenie na str. 6)

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

SIEDEM EMIGRACJI

Od sześciu lat Polska choruje na masową emigrację polityczną. Naród jako całość i niezliczone w nim rodziny dręczą się pytaniem: kiedy wrócą nasi bliscy? Czy wszyscy mogą i zechcą wrócić? Czy ma sens siedzenie za granicą setek tysięcy ludzi i to nie byle jakich ludzi, gdy w Kraju nagromadziły się olbrzymie zadania, a do ich realizacji cisną się często ludzie — byle jacy? Toczy się nad tym dyskusja w prasie, w Kraju trochę jednostronna, na obczyźnie, przypuszczać należy, wszechstronna.

W „Tygodniku Powszechnym" wyrażono zdanie (H. Dembiński), że emigracja z kraju, nie mającego kolonij jest zawsze zjawiskiem społecznie i gospodarczo niepożądanym; wyjątkowo nasza emigracja polistopadowa okazała się konieczną, patriotyczną i częściowo użyteczną. W „Kuźnicy" użyto (W. Kula) mocnego terminu: b a n k r u c t w o i poddano sekcji zasadniczy „nurt" epoki kościuszkowskiej, a potem otaksowano dziejową rolę emigracji po roku 1831. Aż tak daleko sięgnął publicysta, aby wykazać, że ani dzisiejsze nasze rozproszenie w pięciu częściach świata nie ma racji bytu, ani jej nie miała żadna z emigracji dawniejszych. Z pierwszym twierdzeniem, aktualnym, oczywiście, polemizować nie będziemy; drugie w swej apodyktycznej formie zasługuje na rozbiór, a nawet go prowokuje. Ażeby przeszłość rozumieć, trzeba ją przede wszystkim znać; kto się w ten ciemny, „bezdrożny las" zapuszcza bez latarki, naraża się na guzy lub wybicie oka. Otóż wystarczy zwykła, kieszonkowa „Centra", aby rozróżnić wychodźstwo jednostkowe i masowe, wychodźstwo bezładne i zorganizowane, dobrowolne i przymusowe, wychodźstwo z własnego niepodległego państwa i z ziemi zakutej w niewolę. W długim szeregu tułaczy różnych czasów kroczą Dante i Kalwin, kniaź Kurbski i Kotoszichin, Komeński i Rakoczy, Michał Pac i Kościuszko, Mazzini, Herzen, Bakunin, Lenin, Piłsudski... Czy to wszystko byli bankruci?

Zaświećmy latarkę historii. Emigracja zaczynała się zwykle jako uchodźstwo, lecz po trosze stawała się wychodźstwem. Uciekali ludzie z ojczyzny na chwilę niebezpieczeństwa, lecz nawet przekonywali się, że wracać nie sposób, i wówczas dopiero dochodzili do świadomości, że stanowią bezterminową emigrację. Irlandczycy w końcu XVII wieku, uchodząc przed Wilhelmem Orańskim, wierzyli, że ich razem ze Stuartami wprowadzi tryumfalnie na Zieloną wyspę Ludwik XIV; stało się inaczej i emigracja irlandzka wsiąkła w różne kraje. Francuskich rojalistów po roku 1792 miała prowadzić do Paryża Europa reakcyjna; stało się inaczej: popowracali ci, co usłuchali zachęt Napoleona. Tak samo, to znaczy różowo, wyobrażali sobie swe jutro ci Rosjanie, zarówno monarchiści, jak konstytucyjni republikanie, co zbiegli za granicę w r. 1918. Młoda Europa doczekała się częściowo w drugiej połowie XIX wieku odmłodzenia rodzinnych środowisk i mogła w nich spocząć na starość. Najtragiczniejszy z narodów, żydowski, spędził na tułaczce blisko dwa tysiące lat, a miała ta jego emigracja tę odrębną cechę, że była powszechnym ruchem przymusowym, a nie aktem dobrowolnego odejścia z ciężkich warunków celem szukania lepszego życia: wychodźstwo żydowskie rekrutowało się pierwotnie z wygnańców.

Gdybyśmy się przyjrzeli z bliska powyższym ruchom, to w każdym z nich wpadłyby nam w oko przyczyny, cel lub sens emigracji, jej rozmiar i organizacja, stosunek do kraju ojczystego i do istniejącego tam rządu, wzajemny stosunek z narodami dającymi gościnę, no i skutki wynikające z wychodźstwa dla dotkniętej nim narodowości, które to skutki nie trudno ująć w bilans aktywów i passywów.

Polska pokazuje światu swych politycznych tułaczy od paru wieków i nawet jej wskrzeszenie w r. 1918 jako drugorzędnego mocarstwa nie przecięło raz na zawsze smutnej kolei losów. Zna dobrze świat polskiego tułacza, co szukał szczęścia u obcych, bo go nie było w ojczyźnie, zna emigranta, co się przesiedlał na długo, niekiedy nawet naturalizował, bo ścierpieć nie mógł niewoli; zna pielgrzyma, co spełniał misję pracy narodowej w dążeniu do idealnej wolnej ojczyzny. Rzecz przy tym zastanawiająca: nie wysiedlano się pod uciskiem germańskim ani tureckim (nie mówimy tu o sporadycznych wypadkach, ani o wyjątkowych wypadkach ostatniego trzydziestolecia), lecz wszystkie emigracje polityczne uciekały przed carską Rosją.

1. W latach 1709-1714 kilkuset większych i mniejszych partyzantów Stanisława Leszczyńskiego chroniło się w Benderze i Stambule ze strachu przed Augustem II i Piotrem Wielkim. Liczyli na Karola XII, na Turków i Tatarów, że im oczyszczą drogę do Polski. Spakowali swe manatki, gdy z grona ich ubyli ci, co ich mieli łączyć i wyzwalać — Stanisław i Karol. Uchodźstwo to krótkoterminowe, bez przemyślanego programu, mocno podszyte prywatą, bardzo było dla kraju niebezpieczne, bo dawało okazję do prusko-tureckich planów okrojenia Rzplitej. Mówiąc słowami najlepszego tych czasów znawcy (J. Feldmana), „prócz tej kardynalnej przywary (oportunizmu wobec przemocy) wykazuje emigracja benderska moc rysów ujemnych: wybujałą emulację, intryganctwo, pieniactwo; jednych nędza emigrancka popchnie do czynów niskich, wręcz zbójeckich, inni splamią się zbrodnią najcięższą, bo przeciw całości ojczyzny, wszystko to odsłaniano pochopnie przed zgorszonym obliczem cudzoziemców, odwołując się do nich jako do protektorów i arbitrów".

2. W porównaniu z emigracją benderską znacznie poważniej przedstawia się następna, królewiecka (1734-36). Tworzyło ją pół tysiąca czy tysiąc konfederatów dzikowskich, którzy bądź przytulili się z wygnanym Leszczyńskim do dworu pruskiego, bądź przybyli tam później po nieszczęśliwym obrocie walki z Augustem III. Uchodźcy ci, senatorowie i działacze prowincjonalni, reprezentowali niezaprzeczenie majestat Rzplitej, obstając przy najlegalniej obranym królu przeciw uzurpatorowi. Pierwsi wnieśli oni sztandar niepodległości państwa i spodziewali się, że mu z pomocą Francji, Szwecji, Turcji, ba, nawet Prus, nie dadzą upaść. O emigracji na czas dłuższy nie myśleli i kiedy Francja zawiodła, odjechali z powrotem do Kraju — jedni, aby pożytecznie pracować, inni, aby wichrzyć, jeszcze inni, aby odpocząć i użyć życia. Na emigranta wykierował się w tym gronie sam jeden Leszczyński, który też odegrał rolę prekursora późniejszych intelektualnych wodzów emigracji: wszedł w stosunki z elitą umysłową Francji i z niej zaczerpnął natchnienia do postępowych myśli o Polsce.

3. Trzecie pokolenie uchodźców poniosło ze sobą za granicę autorytet niepodległego rządu powstańczego. To była śmietanka Generalności Barskiej (1772-76), skoncentrowana w ścisłym komitecie, ale popierana przez różne ogniska w Paryżu, Wenecji, Turcji, Niemczech, Szwajcarii, Avignonie. Uznano by, choć ze wstrętem, słaby, fikcyjny rząd Poniatowskiego, ale nie podobna było uznać rozbioru Rzplitej, ani też bezcennej uzurpacji różnych Ponińskich na czele Sejmu Delegacyjnego w Warszawie. Trzy czwarte Polski uznawało jeszcze niedawno władzę tych ludzi, ich głosem był Rejtan, protestujący przeciw rozbiorowi. Ufna w ostateczny tryumf dobrej sprawy, Generalność prowadziła na obczyźnie dyplomację i myślała o dalszej wojence. Świat się tymczasem zmieniał — nie na nasze dobro. Jedyna korzystna zmiana na arenie międzynarodowej polegała na tym, że Katarzyna II sprzeciwiła się dalszym zaborom pruskim i austriackim i odtąd jedyna realna polityka kazała wyzyskiwać ten antagonizm wśród mocarstw, a więc współdziałać z Rosją. Tak rozumiał swe zadanie Stanisław August, i wobec takiej rzeczywistości emigracja barska likwidowała się niepostrzeżenie. Marszałek Pac zostawił testament nieprzejednanej, nieprzedawnionej reklamacji przeciw rozbiorowi; Michał Wielhorski podtrzymywał tradycję szukania postępowych wskazań u mędrców Zachodu; Pułaski pokazał, jak się umiera za cudzą wolność.

4. Czwartą emigrację reprezentują w dziejach twórcy Trzeciego Maja, insurgenci kościuszkowscy — niebawem legioniści. Oni również jak Barzanie, mogli się mienić moralnym rządem narodu: mieli w swym gronie czołowych przedstawicieli Wielkiego Sejmu, dali narodowi Naczelnika, potem upoważnili paryską Deputację do przemawiania w imieniu Polski i próbowali zwołać do Mediolanu ten sam Wielki Sejm. W naszych oczach próbowano ich zdyskredytować za wszelką cenę, nawet za cenę logiki. Lewicowy oskarżyciel zabawił się w rozszczepianie ich na prawicę, centrum i lewicę, dopatrywał się arystokracji akurat w centrum, lewicy przypisał ideę ludowo-powstańczą, w przeciwieństwie do idei legionowej. Niestety, z całej tej segregacji ostały się fakty dla autora bezwartościowe: że lewicę skompromitowali krzykacz Turski i skończony warchoł, a później przeniewierca Ksawery Dąbrowski; że z prawicy wyszła Pieśń Legionów; że mimo wszystkich rozłamów prawica dopuściła lewicę do przewagi w Deputacji, a po jej zgraniu się sama tam osiągnęła przewagę moralną; wreszcie, co najważniejsze, że emigranci kościuszkowscy stworzyli zaraz po rozbiorze pierwszą polską siłę zbrojną pod hasłem: Jeszcze Polska nie zginęła. Dopóki w zaborach rządzili tępiciele polskości, póki obowiązywał traktat 1797 roku, wykreślający imię Polaków, póty emigracja majowo-legionowa miała po swojej stronie bezwzględną słuszność. Moment rewizji nastał, gdy Francja wysłała legionistów na San Domingo, a w Rosji Aleksander I ujawnił chęć odbudowania dawnej Rzplitej. Przeczekano te niepewne zapowiedzi, utrzymano zawiązki siły zbrojnej, i po kilku latach emigracja mogła się pocieszyć utworzeniem Księstwa Warszawskiego, bez którego nie powstałoby na Kongresie Wiedeńskim Królestwo. Emigracja legionowa, mówiąc utartym zwrotem alegorycznym, odwaliła wieko trumny i nie pozwoliła go na powrót zatrzasnąć. Można, zapewne, postawić pytanie, czy te walki były potrzebne, jeżeli Aleksander I pod wpływem Czartoryskiego i tak zamierzał odbudować Polskę. Otóż właśnie że nie niebardzo zamierzał i nie tylko z Czartoryskim się liczył; cesarz niewątpliwie był na tyle szlachetny, że się nie mścił na Polakach za uczestnictwo w „owym roku" 1812; w każdym razie dozgonna wierność ks. Józefa Napoleonowi zaważyła dodatnio na losach Polski podczas kongresu wiedeńskiego, a nieobecność na tym kongresie Kościuszki mówiła światu, że Polska nie rezygnuje ze swych ideałów narodowych i demokratycznych. Co się zaś tyczy owej prawicy, lewicy, centrum, to z przykładaniem takich niby społecznych szablonów do zespołów historycznych należało by postępować ostrożnie: jak wyglądałaby Polska w dobie pierwszego rozbioru, gdybyśmy konfederatów barskich nazwali prawicą, króla umieścili w centrum, a na lewicy — chyba Ponińskiego?

Przejdźmy jednak do grupy piątej.

5. Synowie legionistów maszerowali w r. 1831 przez Niemcy do Francji, Belgii, Szwajcarii, znaleźli też schron w Anglii, Portugalii, Turcji; wielu doczekało się lżejszej aury pod zaborami pruskim i austriackim. Wyszli z Kraju, bo ich przywódcom groziła zemsta Mikołaja I, a żołnierzom honor nie pozwalał na złożenie broni. Trwali na obczyźnie, klepiąc biedę, na przekór wszelkim dozorom policyjnym, bo wierzyli w bliską wiosnę narodów. Oni także wyprowadzili za granicę legalny sejm — sejm detronizatorów. Rozszczepili się na prawicę i lewicę, co wówczas było w całej Europie rzeczą normalną. Nie obeszło się, jak zwykle po klęsce, bez „potępieńczych swarów", które wzniosły się aż do niebiańskiej strefy Słowackiego i Krasińskiego, ale nie były one bezpośrednim skutkiem samego faktu emigracji. Wychodźstwo było i tym razem konieczne, a nawet bez kwestii pożyteczne. Ono z odległości jednoczyło zabory, ono dało pole działania ludziom, którzy pod Paskiewiczem musieliby się upodlić lub milczeć. Że ci biedacy karmili się złudzeniami i nieraz frazesami, że grzeszyli lekkomyślnością, zwłaszcza ci czerwoni, to rzecz od dawna uznana, i o to nie będziemy się spierali. Na pewno wielu porobiłoby kariery, zostając w Kraju pod opiekuńczą władzą Paskiewicza, Metternicha, Flottwella; może by dostali przydziały z pokonfiskowanych majątków Czartoryskich i Zamoyskich; znalazłyby się dla niektórych posady strażników na Spielbergu i w Cytadeli... Mickiewicz zamiast „Pana Tadeusza" stworzyłby może „Spekulanta", Chopin zamiast „Poloneza rycerskiego" — „Kalinę", Lelewel zamiast epokowej Geografii czy Numizmatyki — zapewne opis kraju Tunguzów. Tylko jak dotąd, nikt nie dowiódł, jakie to dobrodziejstwa ominęły całą Polskę, gdyby nie zaślepiona emigracja. Przeciwnie — pisze najlepszy przedmiotu znawca (A. Lewak) — przez życie na ogół czyste, przez zalety swe, odwagę, rycerskość, humor, a równocześnie melancholię i tęsknotę za ojczyzną zyskują sobie emigranci popularność. Przez żywy udział w życiu publicznym Zachodu, uczestnictwo we wszelkich ruchach ludowych..., przez czynne a nieraz bohaterskie ratowanie mieszkańców w czasie klęsk żywiołowych, zbliżają się bardzo do tych, wśród których żyli. Podnoszeniem ciągłym sprawy polskiej w parlamentach Francji i Anglii, w pismach i przez agitację ustną, bezpośrednią, wpływają emigranci polscy na wytworzenie się i uznanie jako jednej z głównych wartości historycznych XIX wieku pierwiastka narodowego. Narodowo w dużej części dzięki emigrantom polskim stanie się naczelnym hasłem 1848 roku. Wiosna narodów nie powołała do życia nowej emigracji, a ówczesne załamanie odrodzeńczych wzlotów Polski i Europy nie było bezpowrotne. Prawicowe i lewicowe agencje działały dalej osobno, ale tęskniły razem i życie po trosze przyznawało rację tym, co głosili na całym świecie wyzwolenie i zjednoczenie narodów. Polska wprawdzie przywalona była najciężej, ale po roku 1848, bądź co bądź, życie wciąż jeszcze było znośne w Poznańskim, a po Magencie lżej się zrobiło w Galicji, a po wojnie Krymskiej mogło się zdawać, że i zabór rosyjski straci okazję do wychodźstwa politycznego. Z rokiem 1861, od zgonu A. Czartoryskiego i Lelewela, wielka emigracja wypuszcza z rąk cugle sprawy narodowej; koła rozpędowe rozruszały się w Kraju i kiedy dochodziło do powstania, zarówno wychodźcy biali, jak czerwoni uznali, że są tylko organami rządu narodowego, czynnego w Królestwie Polskim. Jeżeli ten organ miał być przede wszystkim okiem, patrzącym w sprawy europejskie, to trudno nie przyznać, że wzrok zawiódł. Ani gabinety, ani ludy nie dobyły oręża w obronie naszej wolności i niepodległości, a tymczasem program organicznej pracy wielopolskiego poszedł na marne. Ale nie owe oko ponosi odpowiedzialność za niewczesny poryw: skoro ks. Adam przed śmiercią powierzył dalszy ciąg swej pracy Andrzejowi Zamoyskiemu, ponieważ dziś Kraj sam ujął ster swego postępowania, to tylko nieprzytomna zawziętość może w tym widzieć dowód „bankructwa", przeciwnie to był głos rozumu i sumienia narodowego.

6. O emigracji postyczniowej można mówić jedynie z zastrzeżeniami. Przyczyn co prawda nie brakło. Berg, Murawjew i towarzysze umieli zrobić życie pod Aleksandrem II nieznośnym. Ale tym razem żadna grupa powstańcza nie powędrowała za kordon jako całość. Jednostki przyrastały do gotowych formacyj polistopadowych. Jeż czy Plater w Szwajcarii, Dąbrowski Jarosław czy Wróblewski we Francji, Oksza-Orzechowski czy Plater w Turcji, Bukowski w Szwecji, to byli żołnierze, czy raczej weterani bez dowództwa, nawet bez macierzystych oddziałów, choć nie bez sztandarów; ogółem liczono ich jeszcze w rozproszeniu 7.000 (liczba dość duża, a jakość i wydajność tych tysięcy — drugorzędna). Że nie doszło w tym pokoleniu do nowej koordynacji wychodźstwa, to się tłumaczy stanem Europy Zachodniej i Środkowej. Po roku 1870 zgasło słońce Francji, nie zostawiając naszym tułaczom ani promyka nadziei. Za to w Austrii i Niemczech zaczęło się życie konstytucyjne i można już było emigrować z Kongresówki do Galicji lub do „Księstwa" między swoich, z perspektywą współpracy na polskim gruncie. Tak po trosze zacierały się kontury emigracji dalekobieżnej, zadzierzgiwały się węzły solidarności między pokoleniem Asnyka, Dubieckiego, Dąbrowskiego, a tymi działaczami, którzy kooperację wychodźstwa z Krajem oprą na innych, racjonalniejszych fudamentach.

7. Pod koniec XIX wieku i w początkach XX nikt już nie wyobrażał sobie, żeby emigracja, jako zorganizowany zastęp, wniosła do Kraju wolność na bagnetach, na czele własnych czy też sprzymierzonych wojsk. Chociaż nie było narodowego rządu nad Wisłą, żaden rodzaj epigonów nie przyswajał sobie praw działania w imieniu Polski. Pracowano jednak dla Polski w różny sposób. Co było niewykonalne w Kraju, to się robiło za granicą. Już nie było się czego uczyć od demokratycznych polityków zachodnich, ani czego większego spodziewać: szablony się wytarły, życie spowszedniało, frazesy spłowiały. Do myślenia o polskich sprawach trzeba było powołać w Kraju głowy polskie. Wyłaniają się tedy z przygaszonych domowych ognisk iskry, które, rozdęte w płomień za kordonem, podtrzymują niegasnące znicze w zaborach. Na obczyźnie, z emigracyjnego podłoża, rodzi się Liga Polska (1886), której zadania realizować będzie od roku 1893 w Kraju Liga Narodowa. Na obczyźnie, w Paryżu, zawiązuje się w r. 1892 Polska Partia Socjalistyczna, która parokrotnie skorzysta z gościny dla swego Przedświtu — w Londynie. I jeszcze nieraz działacze obu kierunków będą się musieli zjeżdżać poza obrębem caratu i drugiej Rzeszy. Ale dawne skupienia pielgrzymstwa w Paryżu czy Rapperswilu nic już nie znaczą wobec krajowych poddaszy i podziemi.

Co się zmieniło? Czy zelżał system rządów w krajach Bülowa i Szkałona? Na ogół — nie. Czy ugłaskali kogoś grzeczni ugodowcy? W minimalnej mierze. Najważniejsza przemiana polegała na rozbudzeniu ducha obywatelskiego, a poniekąd i zmysłu politycznego w społeczeństwie, i to w szerokich jego warstwach. Któż to otacza stolik redakcyjny Przedświtu na znanej fotografii? Szlachcic Piłsudski, szlachcic Jodko, szlachcic Mościcki, Miklaszewski, Jędrzejowski — wszystko inteligenci, pracujący wśród robotników. A kto się zjeżdża na konwentykle Ligi Narodowej? Drobna szlachta Popławski i Waligórski, syn rzemieślniczy Dmowski, syn robotniczy Korfanty, syn kmiecy Kasprowicz — inteligenci, pracujący dla ludu. Póki jedynym hasłem patriotycznym było: d o l a s u, póty jedyne wyjście z lasu prowadziło na t u ł a c z k ę. Póki masy były bierne, można było tak postępować, aby ludzi aktywnych wywozić, innych wystraszać za dziesiątą granicą i l'ordre regnait à Varsovie. Ale społeczeństwo przemieszane, rozbudzone i częściowo przebudowane umie się bronić, umie się bronić skuteczniej niż dawne w epoce dziadów i pradziadów. Kiedy masy stają się aktywne i twórcze, coraz to nowi zastępcy zgłaszają się na miejsca wyeliminowanych, zarówno więc zsyłka, jak ucieczka zaczynają się mijać z celem. Emigracja masowa się kończy, zostają na obczyźnie pojedynczy, niekiedy zorganizowani emigranci. W ten sposób na to, co nazwałem na wstępie chorobą emigracyjną, znalazły się w naszych doświadczeniach dwa lekarstwa: nie tylko zmiana systemu rządzenia, ale i zmieniony system samoobrony.

Czy mam koniecznie pomóc do wysnucia wniosków ogólnych? Nie lubię uogólnień zbyt prostych, prostackich. Kto mówi: żadna emigracja nie miała sensu, popełnia taki sam błąd, jak ten, co w czambuł potępia wszystkie powstania: przecież powstanie kościuszkowskie było niezbędne, powstanie wielkopolskie 1806 roku pożyteczne, tak samo jak wielkopolskie 1919 i śląskie 1921 roku. Podobnie rzecz się ma, tj. rozmaicie, z emigracjami: pierwsza była zbyteczna, druga uzasadniona, ale na szczęście krótka, trzecia, barska, dobra jako gest; czwarta owocna i zaszczytna, piąta nieunikniona i twórcza, szósta dość jałowa, siódma sporadyczna, ograniczona do minimum, uwieńczyła się dużym sukcesem.

Skutki uboczne też były wielkoznaczne. Materialnie emigracja polityczna, w oparciu zwłaszcza o późniejszą zarobkową, współdziałając z nią i wpływając na jej patriotyzm, przysłużyła się i jednostkom i ogółowi. Powstaniec i sybirak Wokulski, należy podejrzewać, wyjeżdżał na Bałkany jeszcze jako emigrant polityczny; za powrotem zmroził biednego Rzeckiego wiadomością, że „wojny nie będzie", ale za to przywiózł 250.000 rubli, zarobionych na dostawach. Pod względem c y w i l i z a c y j n y m kąpiel w wyższej kulturze, w środowiskach o wyższej skali obyczajności przydała się niejednemu — tysiącom. Sama tęsknota stawała się pożywką dla patriotyzmu. Niejeden, co prawda, cywilizował się w osobliwy sposób, wstępując do obcych tajnych stowarzyszeń i nasiąkając ich mentalnością: wiadomo, że koryfeusze wszystkich kolejno naszych emigracyj, od Leszczyńskiego do Narutowicza, przechodzili przez masońskie wtajemniczenia. Ale i to nie dla każdego było wykolejeniem: dość wspomnieć Zygmunta Balickiego i jego Zet tak doskonale zakonspirowany, dla prowokatorów nieprzenikniony, a w skutkach tak owocny.

Wreszcie, jak widać z dziejów Polonii amerykańskiej, wielkie skupienia wychodźstwa zarobkowego wprost potrzebują domieszki emigracji politycznej. Rozsiani wśród nich ideowcy, w oparciu o środki materialne masy, mogli i zasilać wolne przedsięwzięcia kulturalne Polaków i w ważnych chwilach rzucać ich głos na szalę wypadków. Pielgrzymstwo bowiem, dziś jak i za dni Mickiewicza, nie powinno być ani pokutą, ani ekspatriacją, ani wegetacją, ani karierą, — tylko dalszym ciągiem misji narodowej.

Władysław Konopczyński

(„Tygodnik Warszawski", Warszawa, 7 kwietnia 1946)

NA SEMINARIUM PROF. KONOPCZYŃSKIEGO

Było to w latach, które pachną mi jeszcze bzami na krakowskich plantach. Latach, oddzielonych od dni dzisiejszych tak szeroką rzeką przeżyć, że most na drugą stronę może być tylko owym mostem tęczowym, po którym „aniołkowie nieśli" serce Tetmajera do Krakowa.

Na Uniwersytet Jagielloński przyjechałam z czarnej śląskiej ziemi. Kusiła mnie historia średniowieczna, zaciekawiała przeszłość Egiptu. Skończyło się na historii nowożytnej. Tak też znalazłam się na seminarium profesora Konopczyńskiego.

Zasiadłam przy ciężkim dębowym stole. Przychodząc na seminarium znaliśmy profesora z jego wykładów. Był to okres, kiedy na Uniwersytecie Jagiellońskim błyszczały takie nazwiska jak: Sobieskiego, Semkowicza, Kutrzeby. Każdy z tych profesorów miał wierne grono słuchaczy i uczniów. Nie potrafię dziś dokładnie powiedzieć, co pociągnęło mnie na seminarium profesora Konopczyńskiego. Myślę, że było to w dużym stopniu zasługą samego Profesora, który nie gasił w naszych niespokojnych głowach głodu wiedzy i chęci samodzielnych poszukiwań, wprost przeciwnie, głód ów podsycał, ciekawość podniecał, tematy do rozwiązań podsuwał. Uczył nas szukać w archiwach i bibliotekach, pozwalał grzebać w swych bezcennych prywatnych zbiorach, chętnie słuchał naszych wypowiedzi, pomagał w dyskusjach. Dzięki profesorowi Konopczyńskiemu przeszłość Polski odżywała tak młoda i świeża, jak sprawy, które działy się współcześnie. Wiązała się z dziejami Europy, była nieraz ich motorem, tworzywem.

Historia kończyła się u profesora Konopczyńskiego na powstaniach. Nigdy nie wprowadzał na katedrę spraw współczesnych. Nie znaczy to, że go one nie piekły i nie bolały. Świetne artykuły w prasie polskiej określały jasno stronę, po której stał, a hołd pośmiertny, jaki oddał „Ostatniemu Kanclerzowi Rzeczypospolitej" — Romanowi Dmowskiemu, był chyba najlepszym wyrazem jego credo politycznego.

W życiu prywatnym był profesor Konopczyński człowiekiem czarującym. Nie wysoki, raczej drobnej budowy, zaciekawiał jasnym spojrzeniem niebieskich oczu, w których igrał zawsze jakiś wesoły chochlik. Opowiadano o nim, tak jak o każdym lubianym profesorze, tysiące anegdotek. Jedną z nich przypomnę.

Profesor miał małą posiadłość pod Ojcowem, gdzie lubił spędzać wolne chwile. Jednej jesieni, po specjalnie udanym zbiorze jabłek, profesor z zaproszonymi koleżankami jednej ze swych córek wyruszył na pobliską szosę i rozpoczął sprzedaż jabłek przejeżdżającym wycieczkowiczom. W pewnym momencie zatrzymał się wspaniały samochód pełen cudzoziemców, którzy na migi wyrazili chęć kupna jabłek. Wtedy profesor, w słomianym kapeluszu na głowie, spokojnie podając po angielsku cenę, wyjaśnił, iż niepotrzebnie trudzą się wyrażaniem swych myśli gestami, bo w Polsce w powszechnej szkole dzieci uczą się angielskiego i język ten jest powszechnie znany.

Sama pamiętam, że słów najmodniejszego chyba w roku 1936 tanga uczył mnie profesor Konopczyński na balu historyków. Egzamin zaś magisterski upamiętnił mi się pytaniem — anegdotką, na którą nie umiałam wtedy odpowiedzieć: „Jaka jest różnica między damą a dyplomatą?"

Żegnaliśmy seminarium profesora Konopczyńskiego na rok przed wojną. Nasze miejsca przy dębowym stole zajęli inni. Niestety nie na długo.

Profesora widziałam już potem tylko jeden raz. Wrócił właśnie z obozu koncentracyjnego w Niemczech. Miał ogoloną głowę i wąsy. Niebieskie oczy patrzyły jakoś inaczej, smutno.

Uczennica

Prof. Halecki o Królowej Jadwidze

Dnia 6 listopada prof. O. Halecki wygłosił odczyt w Polskim Instytucie Historycznym w Rzymie w sali włoskiej Akcji Kat. pt. „Królowa Jadwiga i jej znaczenie w Europie wschodniej i centralnej". Nigdy jeszcze Instytut nie miał takiej frekwencji. Poza Polonią rzymską przybyli nań liczni profesorowie z różnych instytucji naukowych. Prof. Halecki piękną łaciną powiedział, że cześć Królowej Jadwigi łączyła tereny od Liwonii do Bułgarii a od Litwy i Rusi poprzez Węgry, Czechy aż do Francji. Jej praca to było dzieło pokoju oparte na wartościach nadprzyrodzonych. Wyniesienie jej dzisiaj na ołtarze jest potrzebą chwili obecnej. Hedvigis, Regina Poloniae, ora pro nobis — zakończył swój odczyt prof. Halecki.

W OCZACH OBCYCH

KRÓL SZWEDÓW GUSTAW ADOLF

Profesor Konopczyński przebywał w zimie 1946/7 w Szwecji, zaproszony przez Królewską Historyczną Akademię, której był członkiem od 1931 roku. Wygłosił na posiedzeniach tej Akademii trzy wykłady po szwedzku. Powitany był 14 stycznia przez następcę tronu, księcia Gustawa Adolfa, obecnego króla szwedzkiego, następującą mową:

Panie Profesorze! Do naszych członków tej Akademii należał hr. Lars v. Engeström — osobistość, która na przełomie XVIII i XIX w. uosobiała kontakty Polski ze Szwecją. Pan sam w jednej ze swych prac opisał misję Engeströma jako posła Gustawa III do skazanej na zatratę Rzeczypospolitej Polskiej i zna Pan dobrze wkład jego i jego rodziny w podtrzymywaniu związków polsko-szwedzkich.

Otóż gdy się myśli o wielu wspólnych tematach badań, jakie łączą historiografię szwedzką i polską, to właśnie zdaje się godnym uwagi, że Pan jest pierwszym polskim uczonym powołanym na członka tej Akademii Historycznej. Wybór ten uzasadniono głównie pracą o Polsce i Szwecji od pokoju oliwskiego do upadku Rzplitej, wydaną w r. 1924. Obszerne to dzieło niestety nie zostało jeszcze przetłumaczone na język szwedzki, tylko niektóre ważne rozdziały, np. o Karolu XII i Polsce, tudzież o polskiej polityce Gustawa III zostały ogłoszone w szwedzkich czasopismach.

W swej ojczyźnie był Pan czynny jako recenzent szwedzkiej literatury historycznej; oceniał Pan w polskich czasopismach liczne szwedzkie rozprawy i wielkie dzieła zbiorowe, jak wielka szwedzka historia Sejmu i historia szwedzkiego urzędu spraw zagranicznych, a teraz zamierza Pan ogłosić dużą pracę obejmującą całość walki politycznej w obrębie rejonu bałtyckiego.

Zajmuje Pan katedrę historii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, jednym z najstarszych i najznakomitszych w Europie. Jest Pan też członkiem dostojnej Polskiej Akademii Umiejętności. Z radością słyszymy, że dawna stolica Polski ze swoimi bogactwami historycznymi, w przeciwieństwie do nieszczęśliwej Warszawy, stosunkowo mało była dotknięta ohydnym i bezmyślnym zniszczeniem w ostatniej wojnie światowej. Stary zamek królewski na Wawelu, Biblioteka Jagiellońska, Sukiennice i kościół Mariacki z wielkim ołtarzem Wita Stwosza należą z pewnością do najcenniejszych klejnotów europejskiej kultury.

Panie Profesorze, szesnaście lat temu został Pan wybrany do naszej Akademii, ale dopiero dzisiaj mamy sposobność powitać Pana w naszym gronie. Gdy Pan otrzymał wiadomość o naszym wyborze, Polska wyzwolona z wielkiej niewoli weszła już w nową, obiecującą epokę swych zmiennych dziejów. Danym było Panu osobiście doświadczyć, jak złe moce próbowały zniszczyć tę Polonia Restituta, ale Pan przetrwał na szczęście ten czas ciężkich i długich prób. I gdy Pan wreszcie przybywa do nas, widzimy w Panu godnego przedstawiciela dostojnej polskiej spuścizny cywilizacyjnej, której przemoc nigdy nie zniweczy.

PROF. A. BRUCE BOSWELL

I first met Władysław Konopczyński in the years before the first World War, when I was working in the Zamoyski Library in Warsaw, then under Russian rule. As there was no Polish university there the Librarian, Professor Tadeusz Korzon, created an informal centre for the study of Polish history helped by Józef Siemieński. From the Kingdom as well as from more fortunate Kraków and Lwów came distinguished historians like Askenazy, A. Jabłonowski and Wacław Sobieski to discuss and read. A number of young men came for an opinion on their works. From that High Court there was no appeal. "A mere compilation", and the unfortunate student came no more. Among those who came and remained were M. Handelsman, H. Mościcki and Władysław Konopczyński. I remember well the day when the latter, seeing what book I was reading, asked me what I thought of Kazimierz IV. From that time I saw him fairly often till I returned to England in 1913. He spoke English well and was an admirer of our institutions — a rare thing in those days when Poles and Britons knew little of each other, and I was often blamed for the execution of Mary Stuart, for the wars against Napoleon and for oppressing the Irish!

From the first I admired his readiness to discuss Polish institutions and historical works on any period, which was of great advantage to me. We shared a great admiration and affection for Professor Korzon, whose work was still being carried on. He was always ready to talk to us, and I gained very much from his discussions with Konopczyński on the Dissident question and the Partition period in general.

In 1913 I joined the University of Liverpool and turned to other subjects, so that I was cut off from Polish historians until sometime after the War. Meanwhile Konopczyński became a European celebrity by his book on the Liberum Veto. It was not till 1935 that I was able to resume my Polish studies and worked in Kraków where I found my old colleague occupying a professorial Chair and acknowledged as one of the leading historians. I last heard from him directly in 1937.

It is for others to assess the qualities of Konopczyński as a historian. But it is appropriate for a British student of history to express his appreciation of the originality, boldness and immense research in treating the problems involved in a study of the Liberum Veto, and of his great pioneer work in writing the history of the unpopular Saxon period, especially his summary of it in his two excellent chapters in the Cambridge History of Poland: to admit that he owes more to Konopczyński in his own studies than to any other Polish historian since the death of Professor Korzon: and to join with historians from many countries in deploring the untimely passing of a great scholar nad teacher.

A. Bruce Boswell
Professor Emeritus,
University of Liverpool

PROF. JEAN FABRE

D' autres diront mieux que moi ce qu'ont été l' enseignement, l' oeuvre et le talent de Ladislas Konopczyński, la place éminente qu'il occupe dans l'historiographie polonaise. Il me suffira d'évoquer à son sujet quelques trop rares et chers souvenirs.

Je l'avais rencontré en 1935, presque par hasard, à la Bibliothèque Czartoryski, en ce royaume des archives où il se sentait véritablement chez lui. Certes, je connaissais depuis longtemps ses livres; son étude sur le "Liberum Veto" m'avait donné la clé de la vieille Pologne nobiliaire; ses ouvrages sur "Konarski" et "Pułaski" et, davantage encore, certains de ses articles me servaient de guide dans l'épineuse exploration que, sur les conseils de Paul Hazard, je venais d'entreprendre du XVIIIe siècle polonais. Mais, précisément, leur immense erudition accusait davantage mon inexpérience, et j'estimais que Ladislas Konopczyński avait mieux à faire qu'à s'intéresser aux naïvetés d'un débutant.

Son abord me rassura tout de suit; il était de ceux qui savent mettre à l'aise leur interlocuteur. Au lieu de prendre avec moi un air doctoral, il me traita aussitôt comme s'il attendait beaucoup de mes lumières et, comme j'eus le bonheur de répondre avec pertinence à deux ou trois de ses questions, il me remercia de lui en avoir tant appris, me proposa d'organiser entre nous un service d'échanges et d'informations réciproques, puis, comme entrée en matières, il me fit sur l' état des archives polonaises concernant le XVIIIe siècle, l' exposé le plus, lumineux que j' aie jamais entendu. Après quoi, il s' informa des mes goûts; nous nous en découvrimes de communs et nous mimes à parler récoltes et chasse, comme de vieux amis.

Un chasseur: dès ce premier entretien, que devaient suivre quatre ou cinq autres rencontres, c' est l' image sous laquelle n' a cessé de m' apparaître Ladislas Konopczyński. Il en avait l' allure, la démarche: malgré moi, je coiffais d' un béret basque cet homme mince, nerveux, au parler bref, à l' oeil aigu, et je le voyais parcourant les guérets et les landes, un fusil à l' épaule, comme un montagnard de mon pays. Et qu' était pour lui l' érudition, sinon une des formes de la chasse? Nul autre ne savait mieux dépister le gibier, en l' espèce de document rare, le témoignage inattendu. Je ne connais pas d' historien qui ait fouillé plus d' archives, ni qui en ait tiré davantage. Il s' amusait lui-meme de ses découvertes, s' applaudissait d' avoir été chercher jusqu' à Rouen tel manuscrit de Le Mercier. Plaisir de chasseur ou de détective. En plaisantant, il m' enrôlait dans ce qu' il appelait son "Intelligence Service", considérait comme un rare exploit telle fiche que j'avais pu établir sur quelque officier des Cadets. C' est que les hommes l' intéressaient davantage que les systèmes ou les idées. Si, à certains égards, l' art de l' historien s' apperente à celui du romancier, la manière de Konopczyński marquait le triomphe de cet art. Son imagination évoluait aussi librement dans la société du XVIIIe siècle que celle de Balzac dans l' univers de la Comédie Humaine: il semblait y connaître personnelement tout le monde, trouvait pour caractériser le moindre comparse le terme le plus juste et le plus mordant, et n' aurait pas été autrement surpris, j' imagine, de voir surgir inopinément, dans son cabinet de travail, un Casimir Pułaski ou un Charles Radziwiłł.

Aucune fantaisie, cependant, dans cette vivacité d' impression. Du grand historien, Konopczyński possédait, en effet, au plus haut degré cette autre qualité: le scrupule. Elle se marquait dans les plus petits détails: pour m' acquitter jusqu' au dernier centime la note d' un copiste, les frais d' un cliché, il passait du français (de son français impeccable, un peu saccadé) au polonais et se plaisait à me rappeler le dicton: "Kochajmy się jak bracia, ale rachujmy jak Żydzi". Mais, surtout, il poussait jusqu' à la manie le souci des vérifications et des références. Un fait bien établi lui semblait d' un plus haut prix que mille conjéctures, et il n' en admettait aucun, si menu fût-il, que sous la garantie d' innombrables contrôles et recoupements. Aucune tâche ne lui paraissait trop ingrate pour faire éclater le vérité: il projetait d' éditer, sous leur forme intégrale, les actes de telle Diète des temps saxons, bien qu' ils fussent vides de tout interêt, précisement, disait-il, parce que tout professeur d' histoire doit de rendre compte, objectivement, de ce vide. A un degré plus haut encore, son scrupule découvrait chez lui, par delà l' historien, un homme et un chrétien. Avant de juger, il s' efforçait toujours de comprendre et, sachant qu' à tout prendre, l' histoire et la vie n' offrent que rarement à l' état pur la scéléuratesse, comme l' heroïsme, il tâchait de ne mettre personne dans son tort, s' efforçait à des discriminations équitables jusque parmi ceu qu' il se sentait obligé le condamner: les instigateurs de la Confédération de Bar, par exemple.

De là. cette impression un peu indécise, un peu touffue que laisse la lecture de certains de ses ouvrages. Les détails y semblent prendre le pas sur les ensembles; on dirait que l' historien recule devant sa propre responsibilité et que, après avoir pris son lecteur en possesion de tous les éléments d' appréciation il lui laisse le soin d' interprèter et de conclure. Non certes qu' il fût incapable de synthèse: telle communication de quelques pages sur "La liberté éclairée en Pologne" ouvre à l' esprit les plus larges horizons. Mais malgré la fièvre de la composition, car il travaillait avec une déconcertante vitesse, sa réserve et sa probité lui interdisaient toute généralisation hasardeuse. On trouve un parfait exemple de cette mesure dans les conclusions, si prudentes, si nuancées, sur la maçonnerie polonaise au XVIIIe siècle et son rôle historique qu' il opposait aux hypothèses quelque peu truculentes et fracassants de K.M. Morawski, dont il appréciait pourtant hautement les qualités, non sans analogie avec les siennes: la vivacité de l' imagination, la franchise du langage, le pittoresque du style. Mais Konopczyński savait résister à l' entrainement de ses propres dons, car il portait en lui une vertu encore plus rare: un souci perpétuel de justice, une exigence de charité.

C' est pourquoi son ouevre si minutieuse, si abondante, si féconde est restée, peut-être, inachevée. Lui seul aurait pu écrire une histoire monumentale et complète de la Pologne au siècle des lumières et, en particulier, du règne de Stanislas Auguste. Plus d' une fois, je lui en avait exprimé le voeu. Mais, sans se dérober, il répondait qu' il n' était pas prêt encore, qu' il attendait le résultat de patientes analyses, entreprises par lui et par ses élèves; avec sa gentillesse ordinaire, il ajoutait que je devais moi-même mener a bien une part de l' oeuvre commune et il m' encourageait à travailler. Finalement, le temps, les forces, la paix, le coeur peut-être lui ont manqué. Je ne sais ce qu' ont été ses dernières annèes; je n'ose même imaginer ce qu'ont été ses épreuves, ses souffrances, ses doutes, ses espoirs aussi, car l' espérance était en lui aussi profonde que la bonté. Sans doute cette espérance se fortifiait-elle pour lui de visions et de raisons plus hautes; mais, sur le plan objectif de l' histoire, elle se traduisait par la confiance que lui, Polonais, et moi, Français, gardions tous deux en notre commun héritage d' humanisme et de chrétienté. Ce grand historien patriote avait spontanément trouvé un commun langage avec un modeste compagnon, venu de France. Et, au moment où j' évoque sa mémoire, je ne veux songer à rien d' autre qu' à ce que j'ose appeler respectueseument, mais fièrement, notre amitié.

Jean Fabre

Strasbourg 11 novembre 1952.

JAK ZOSTAŁEM HISTORYKIEM?

(Dokończenie ze str. 2)

W maju, gdy już w Mandżurii było dosyć ciasno, brygada odjechała do Rembertowa na ćwiczenia, a ja właśnie przerobiłem pierwsze wskazane mi przez Askenazego archiwum — barona Kronenberga. Pamiętam to świeże, dziewicze zetknięcie się z rękopisami Jana Aloego: żeby tylko wszystko dobrze zrozumieć, nic nie uronić. Wyzyskałem w pośpiechu i rękopisy Zamoyskich i dostałem się do Krasińskich. Potem, już pod koniec służby, odkrywam istną kopalnię w bibliotece uniwersyteckiej — Acta Primatialia Wł. A. Łubieńskiego. Jak to pogodzić z pracą u Krasińskich? Zacny J. Kallenbach wiedząc, w jakim jestem położeniu, pozwolił mi wieczorami pracować w prywatnym mieszkaniu. Nająłem pierwszego w życiu kopistę i tak na 14 września uporałem się z tym, co najważniejsze. Zwolnią nas, świeżo upieczonych praporszczyków, czy nie zwolnią? Przecież staraliśmy się zdawać egzamina w Prymasowskim Pałacu jak najgorzej... Zwolnili, a dadzą mi paszport zagraniczny? Jeżeli nie, to pędzę do Młynika (tak się nazywał kupiony przed trzema laty nasz folwark pod Ojcowem) i albo za przepustką przez Szyce, albo ukradkiem przez dolinę Będkowską, wieję do Krakowa.

Dali paszport. Od października zamieszkałem pod Wawelem z Tadeuszem Strumiłłą i zaczęła się nieco inna muzyka, na dwóch na przemian fortepianach. Na jednym komponowałem „Polskę w dobie wojny siedmioletniej“ oraz preludium do niej: „Sejm grodzieński 1752 r.“, na drugim „Genezę liberum veto“. Do opracowania tego drugiego tematu mogli się przyczynić swymi radami wybitni krakowscy historycy prawa: Ulanowski, Piekosiński, Kutrzeba, Estreicher, przydałyby się z nimi rozmowy osobiste. Ja jednak uważałem, że na wszystko jeszcze przyjdzie czas, a za najlepszy list polecający starczy dobrze upchana notatkami teka, nie mówiąc już o naładowanej głowie. Pogrążyłem się w pracy archiwalnej z payotowską zapamiętałością.

Do „Jagiellonki“ dał mi wstęp bez trudności Karol Estreicher. Tam, w Collegium Maius, w nieco mrocznych gotyckich salach, panował porządek dość prymitywny, za to w poszczególnych apartamentach zasiadali i urzędowali panowie starsi, dobrze notowani w bibliografiach: Bełcikowski, Heck, Kniaziołucki, Koneczny; woźni mieli wygląd podoficerski, nieprzytulny. Do Czartoryskich wprowadził mię — przez prywatny lokal Mariana Sokołowskiego — bilecik Askenazego. Tam poznałem Skałkowskiego Adama, przodującego monografistę w zakresie dziejów nowożytnych; on zwrócił mi uwagę na bibliotekę i rękopisy Akademii Umiejętności. Czas rozłożyłem sobie arcyekonomicznie: od 8 do 9 Jagiellonka, do 13 Czartoryscy, od 13 do 14 Akademia, po obiedzie znów Biblioteka Jagiellońska, od 18 do 20 znów Akademia, reszta roboty w domu. W jednej z najgrubszych Tek J. Mniszcha (1760-1761), nietykanej od czasów Szujskiego, znalazłem zardzewiałą stalówkę — i powiedziałem sobie: „dzierżę pióro po Szujskim“. Czułem, jak mi się wyrabia szybko chwyt badawczy, jak coraz lepiej idzie selekcja ważnej treści, coraz zrozumialszym staje się i coraz więcej mówi każdy dokument i każdy kodeks. Odtworzyć z tysięcznych rozproszonych śladów ludzi i sprawy tego dziesięciolecia stało się, poza jednym problemem ustrojowym, wyłączną moją na parę lat ambicją. Filozofię, metodologię, problematykę pozostawiłem sobie na razie in statu quo.

Zaraz na początku pracy u Czartoryskich zdarzyła mi się pierwsza bieda ze zdrowiem. Z jednej strony niedomknięte okno, z trzech innych rozpalone kaloryfery przyprawiły mię o ostry ból w prawym kolanie — zadatek cierpień na późniejsze lata. Opłacił się wprawdzie ten ból na Boże Narodzenie, kiedy mię „wojenny naczelnik“ powołał telegraficznie do czynnej na Dalekim Wschodzie służby. Uzbrojony w świadectwo dra M. Rutkowskiego, że mam przewlekłe zapalenie stawu, oddepeszowałem, że jechać nie mogę. Czy mi jednak ta „przewlekła“ wymówka na długo wystarczy? Przecież na do brą sprawę należało by dowieść w pewnej chwili, że mię ten ból ani na moment nie opuszczał... Mimo wszystko będę dezerterem, więc czeka mię tułaczka. Jako emigrant we własnym przekonaniu, a w dodatku inwalida, pracowałem z tym zawziętszą determinacją.

Choć zawsze mię ciągnęło do posiedzeń i koleżeństwa, niewiele czasu odżałowałem dla naukowego kółka młodych historyków („akademików“), do którego mię wprowadził niejaki Jan Dziedzic. Com tam próbował zdziałać (projekt organu wzajemnej informacji o źródłach), com zdziałał rzeczywiście (dwa referaty o genezie veto), na com się napatrzył (na walkę wyborczą, z której wychodzi tertius gaudens najsłabszy), kogo poznałem — to wszystko według dziennika opowiedziałem następnemu pokoleniu „akademików“ w pamiątkowej książce „Wspomnień“ (1928). Poznałem M. Łodyńskiego, Stan. Zachorowskiego, St. Kościałkowskiego, Abdona Kłodzińskiego, Kazimierza Mariana Morawskiego i ustępującego prezesa Franciszka Fuchsa, który od tego czasu po dziś dzień, ucząc w gimnazjum geografii i historii (bo nie chciał być profesorem uniwersytetu), nie stracił nic na świeżości i sympatyczności. Raz zajrzałem na seminarium Wincentego Zakrzewskiego, skorygowałem coś w dyskusji, ale profesorowi się nie przedstawiłem. Dzieliła mię od galicyjskich adeptów historii różnica w przysposobieniu: oni szkolili się w naukach pomocniczych, różnych paleografiach, dyplomatykach, heraldykach, geografii historycznej, a ja byłem zbrojny w prawo, filozofię, psychologię, trochę socjologii i ekonomii.

Czas było jechać do Lwowa w trop za Skałkowskim. Otrzymałem od krakowskiego koła mandat (bez diety, ale z przydziałem mieszkania w domu technickim) na zjazd Ogniwa. Mandat spełniłem, przez kilka dni siedziałem, przemawiałem, głosowałem, klaskałem, a potem do 1 kwietnia pracowałem głównie w Ossolineum samotnie a równie forsownie, jak w Krakowie. Przewracałem Ossolineum do góry nogami — służba nosiła mi po kilkanaście rękopisów z chwalebną pracowitością... i rezygnacją. Uważałem bowiem, że kto nauce poświęca wszystkie siły i dla niej cierpi ból w kolanie, ten nie musi poświęcać ani jednej korony na... napiwki. Wyskrobawszy z rękopisów Ossolineum, Pawlikowskich, Baworowskich, Dzieduszyckich, Uniwersyteckiej rzeczy raczej drugorzędne, wróciłem na Wielkanoc do Krakowa, aby zaraz pędzić do Wiednia.

Pierwsza widziana stolica europejska nasyciła mnie mnóstwem wrażeń: cesarskie muzea, opery wagnerowskie, św. Stefan i Votiv-Kirche, parlament, ratusz, Schönbrunn, Secesja, Eugeniusz i Maria Teresa, panorama z „wielkiego koła“, kawa z pierwszorzędną śmietanką, grube gazety, wspaniały szwajcar w gmachu kanclerskim, uprzejmy hofrat-dyrektor, folianty i konwoluty zawczasu przygotowane, „hab 'die Ehr“ i „empfehl 'mich bestens“, — cóż kiedy tym wspaniałościom niebardzo odpowiadały moje nabytki archiwalne. Trzeciorzędny dyplomata Sternberg pisał drugorzędne relacje z trzeciorzędnej wówczas Warszawy. Przynajmniej o tym sejmie grodzieńskim dowiedziałem się z petersburskiej korespondencji dość cierpkiej prawdy. Pierwszy raz byłem w półtora milionowym mieście tak zupełnie sam. Tylko dr Hans Lauber, nasz niegdyś guwerner u Ostromęckich w Rogolinie (1893), wówczas czytelnik sześciotomowych „Hohenstaufów“ Raumera, a teraz okulista, dał mi ostatnią korepetycję, jak się pisze podanie do następnej dyrekcji archiwalnej („Euer Hochwohlgeboren... geruhen“ etc.) — i 10 maja nocą przeniosłem się przez Pragę prosto do Drezna.

Tu miał być przypuszczony główny szturm. Zastałem nad Łabą inny gatunek niemieckich archiwistów, nie tak ugrzecznionych i eleganckich, bardziej sztywnych i zapiętych. Dyrektor Paul Hassel, Prusak o generalskich manierach, uprzedził mię na wstępie, że swe notaty będę musiał im dać do kontroli (co się okaże czczą formalnością). Po trosze i on, Hubert Ermisch, i Waldemar Lippert, i Hans Beschorner, obserwując mój Sitzfleisch, nabrali do mnie przekonania.

A było nad czym siedzieć, bo Hassel pozwolił mi wyciągać z wewnętrznego inwentarza wszystkie pozycje, jakie mnie mogły interesować (czego radcy wiedeńscy, jak podkreślał Lippert, nie odsłaniali). Więc przebiegałem okiem i ekscerpowałem piórem ciężkie, czarnym pyłem smolące folianty korespondencyj petersburskich, paryskich, wiedeńskich, londyńskich, stambulskich, gdańskich, intercepta, rachunki, diariusze, monetaria, militaria, listy panów polskich do dworu. Dojechałem z końcem czerwca do r. 1758 włącznie i poczułem, że muszę odpocząć.

Nad piękną Elbą, w obliczu Tarasu Brühlowskiego i Pałacu Japońskiego (Królewskiej Biblioteki) żyło się jeszcze samotniej, niż w Wiedniu. Ani Laubera, nawet na lekarstwo — „niekomu ruku podat“. Skromniutki wikt w proletariackiej garkuchni (bo nie chciałem obciążać ojcowskiej kieszeni), wyczerpująca praca, przerywana tylko w niedzielę zwiedzaniem Galerii, Albertinum i Zwingru oraz słuchaniem oper wagnerowskich im Steh-Parkett, tudzież motetów w luterańskiej Frauenkirche, no i symfonicznych mszy w dworskim kościele katolickim, obce otoczenie, tęsknota do swoich (jakże wymownie odzwierciedlone w statystyce snów) — wszystko to doprowadziło mnie do stanu chorobliwego przemęczenia i bezsenności (raz nawet do hypnagogicznej słuchowej halucynacji). Krzepiłem się, prawda, odgłosami wielkich przemian na Wschodzie: jak bezradośnie omawiały gazety saskie tragiczny los eskadry Rozdiestwieńskiego, a jak inaczej odczułem to ja. Gesta Dei per Samiraios... I to wszystko na razie bez żadnej ingerencji wolność miłującej Europy.

Dnia 12 czerwca pożegnałem się z Hasslem, upewniwszy go, że moje polskie wyciągi nie budzą „politische Bedenken“, pomknąłem do Krakowa. Zaczęła się w pokoiku na „Szklanej Górze“ pod Kopcem Kościuszki (gdzie dziś ulica Spadzista) robota konstrukcyjna, która z różnymi przerwami, wywoływanymi pracą uboczną, potrwa coś cztery lata. Już widziałem w druku w „Ekonomiście“ pierwszą swoją recenzję — dość surowy, a więc zuchwały rozbiór krytyczny samego Esmeina (na pewno szanowny autor nigdy nie słyszał o tym figlu swojego tłumacza). I ujrzałem pod koniec lata w pierwszym zeszycie „Przeglądu Historycznego“ początek „Genezy liberum veto“. Cokolwiek się stanie w tej Rosji, ujrzę czy nie ujrzę swe podkrakowskie kąty, Młynik i Książniczki — mogę powiedzieć rejowskim stylem, że

„Wdarłem się na skałę
boskiej naszej Klio,
Kędy dusze praojców wtórem
życiem żyją.“

Władysław Konopczyński

NOWA BIOGRAFIA „BONNIE PRINCE CHARLIE“. Romantyczna postać „młodego pretendenta“, księcia Karola Edwarda, wnuka Klementyny Sobieskiej, doczekała się licznych biografii. Przybywa do nich obecnie jeszcze jedna, której autorem jest p. Peter de Polnay („Death of a Legend“, wyd. Hamish Hamilton). Autor zajmuje się ostatnim okresem życia swego bohatera, — okresem nie bardzo pociągającym ze względu na nieprzepartą skłonność „młodego pretendenta“ do pijaństwa. Mimo tej ułomności „Bonnie Prince Charlie“ do końca wywierał urok na wielu ludzi i miał oddanych sobie zwolenników. Książka oparta jest na nowych materiałach, jakie p. de Polnay znalazł w archiwach Quai d'Orsay i w papierach Stuartów, przechowywanych w zamku windsorskim. Dodane są nieznane do tej pory listy zarówno samego „młodego pretendenta“, jak i brata jego kardynała, który umarł jako ostatni ze Stuartów.

OD REDAKCJI

Numer dzisiejszy poświęcony jest w całości pamięci Prof. Władysława Konopczyńskiego, dlatego też wyjątkowo nie przynosi zwykłych działów: Ze świata katolickiego, Zapisków londyńskich, Wśród książek i czasopism. Nie zmieściły się też w numerze dwie prace poświęcone Prof. Konopczyńskiemu: Antoniego Michaleka „Z życia i pracy naukowej Prof. Wł. Konopczyńskiego“ oraz Fr. Olipry „Prof. Wł. Konopczyński w Szwecji“. Obie te prace ukażą się w dalszych numerach ŻYCIA.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 7 grudnia 1952.

CAUSA INVICTA

Kiedy po wielu latach czytelnik sięgnie po któryś z sześćdziesięciu tomów dzieł Profesora Władysława Konopczyńskiego, mniemał będzie zapewne, iż pisał je autor głuchy na uroki życia, zaszyty w księgozbiorach, oschły w obcowaniu z ludźmi i obcy sprawom współczesnym. Może także pozazdrościć historykowi sprzyjających okoliczności dla dokonania dzieła tak wielkiego, spokojnych czasów, atmosfery uwielbienia ze strony społeczeństwa i uczonych.

Popełni duże omyłki w tym sądzie. Władysław Konopczyński był bowiem do ostatnich swych chwil po studencku zakochany w życiu, do końca praktykujące zasady i pracując z energią i świeżością członka tajnego kółka z ławy szkolnej. Jeden z jego wybitnych uczniów nazwał Profesora w dniu pięćdziesięciolecia jego pracy naukowej, 17 maja 1952, „budzicielem pasji pracy", a jeszcze potem, w czerwcu i lipcu, do domu Profesorów przy ulicy Łobzowskiej w Krakowie, do łóżka Prof. Konopczyńskiego przychodzili przyjaciele, aby od niego zaczerpnąć optymizmu w czasach coraz mroczniejszych.

Całe to życie było nieustanną walką. Skazał się na nie Profesor własnym wyrokiem. „Zahartowany agonistes — pisze o sobie — unikam bitwików zbyt popularnych... bo natura ciągnie mnie w ciemność, w gąszcz, w tajemnicę. Z oszczędzonych zapasów, z okiełznanych namiętności uzbierałem zapas dynamiki, który mi pozwala użyć do celów dość dalekich przy zużyciu całej skoncentrowanej energii". Za przeznaczenie swe badań historycznych wybierał sobie epoki najtrudniejsze, powikłane, ciemne i beznadziejne. Zapalały go wszystkie „causae victae". W czasach zaćmień dziejów narodowych, w okresach katastrof znajdował przecież zawsze błyski oporu i ogniki nadziei. Jeśli mistrzów jego słusznie określa się jako „szkołę optymizmu historycznego", jego Konopczyński był największym optymistą w historiografii przeszłych i dzisiejszych dziejów Polski.

Istnieje ścisłe pokrewieństwo między niezłomnym duchem Konarskiego i Konopczyńskim oraz między nim a wolontariuszami Konfederacji Barskiej. Pisząc we wstępie do dwutomowej monografii „Konfederacji", iż poświęcił jej „dwadzieścia pięć lat życia", wyraził przede wszystkim własny stosunek do przedmiotu. Umiłowaniem jego serca była bowiem obrona słuszności przed przemocą.

Gen. Marian Kukiel w głębokiej charakterystyce Konopczyńskiego, wygłoszonej na zebraniu w Instytucie im. Gen. Sikorskiego w Londynie, nazwał zmarłego kolegę — konfederatem. Mieści się w tym określeniu prawie cały Konopczyński. Kiedyś w Krakowie studenci narodowcy z „Młodzieży Wszechpolskiej" prosili Profesora o przemówienie inauguracyjne. Zaczął je słowami: „Stronnictwo polityczne, któremu najdłużej i najwierniej w życiu służyłem i którego idee podzielam w większości, to Konfederacja Barska". Było to zaskoczenie dla słuchaczy, którzy doskonale wiedzieli, iż Prof. Konopczyński jest równie wiernym i równie wytrwałym członkiem Stronnictwa Narodowego. Gen. Kukiel twierdzi, że Konopczyński jeśli jakiejś sprawy nie wygrał, to ją przynajmniej pragnął obiatować w grodzie. Rzeczywiście oprócz dzieł naukowych pozostały po nim stosy zrealizowanych i nie — projektów, pomysłów, protestów, deklaracji, odezw, statutów.

Miłość do spraw przegranych Prof. Konopczyńskiego utorowała drogi historiografii polskiej, wyrąbała szeroki gościniec przez najmniej dostępne tereny dziejów i pomnożyła znakomicie polską świadomość narodową. Ale Profesora skazała na doczesną klęskę. Istnieje zbieżność, nie tylko czasowa, w działalności dwu wielkich Krakowian: metropolity Adama Stefana Sapiehy, którego zawołanie brzmiało: „A o sprawiedliwość bij się aż do śmierci" i Władysława Konopczyńskiego. Nie mogło być inaczej: obaj uosabiali najlepsze pierwiastki charakteru i tradycji polskiej. Obu ich również łączy praktykowanie wyznawanych zasad, bezkompromisowa wierność ideom.

Prace historyczne Władysława Konopczyńskiego nie są jedynie encyklopedycznym wykładem dziejów. Są to płonące od wewnętrznego żaru nauki dla narodu. Konopczyński nie tylko kochał dzieje Polski, on je również oceniał i pragnie uczynić drogowskazami. Są to więc dzieła historiozoficzne.

Oto przykład oceny konfederackiej choroby na Moskala i późniejszych jej aż po nasze czasy następstw: „Ale ten sam — pisze Konopczyński w „Konfederacji Barskiej" — pouczliwy duch samoobrończy kryje w sobie dwojakie niebezpieczeństwo dla przyszłych pokoleń. Po pierwsze utożsamiono interes Polski z sumą interesów poszczególnych obywateli... Po wtóre nie zrozumiano tej głębszej, dla wielu niezgłębionej prawdy, że wolność zarówno jednostkowa, jak zbiorowa oznacza przede wszystkim zależność od woli wyższej, a dopiero potem, w konsekwencji, niezawisłość od woli cudzej. Niepodległość narodowa, jakkolwiek ją pojmiemy, czy figurnie nazwiemy wolnością, majestatem, samowładnością, suwerennością, bywa tym pewniejsza, im silniej w niej tętni wewnętrzna moc twórcza, im więcej w niej się na składa bogactwa myślącej i czującej duszy: to są jej źródła, jej istotne więzadła, kiedy jej przed zagranicą tuż pogarda dla obcych stanowią tylko jej zewnętrzną powłokę. Niepodległość buduje się od wewnątrz, a dopiero ochrania od zewnątrz. Trzeba mieć co kochać, aby dla tej miłości nieść życie na szaniec".

Wierność zasadom, bezkompromisowość w postępowaniu, umiejętność wykrywania prawdy, głębia oceny przeszłości, nieprzeciętnych wielkości indywidualnych i zbiorowych, zdumiewająca pracowitość, prawość charakteru mobilizowały jeszcze za czasów niepodległości przeciw Konopczyńskiemu niechęć zbiorowisk i oportunistów. „Nie wszyscy ludzie kierują się — pisał w pamiętniku — ideą, rozumem, obowiązkiem, ale ten rodzaj ludzi i ten element w człowieczeństwie interesował mnie najżywiej. Z nim nauczyłem się zestawiać słabość, namiętność, nieobliczalność wszelkiej reszty..." Przegrywał też Profesor swoje kampanie nieraz. Odrzucano jego poglądy zbyt śmiałe, likwidowano towarzystwa, w których grał wybitniejszą rolę, torpedowano inicjatywy. Zwycięstw jednak w niepodległej Polsce odniósł niepomiernie więcej niż klęsk. Wspaniałe także zwycięstwa odnosi Profesor w okresie okupacji niemieckiej. Był to bodaj najbardziej twórczy okres jego życia.

W tym czasie bowiem, kryjąc się skutecznie przed okiem okupanta, wskrzesił nie tylko Uniwersytet Jagielloński w podziemiu i mimo zakazów prowadził wytężoną działalność pedagogiczną i badawczą, ale też opracował i napisał następujące dzieła: dużą monografię „Fryderyk Wielki a Polska", „Kwestię bałtycką X - XX wieku", „Pierwszy rozbiór Polski", „Metodologię nauki historii", „Konfederacje w rozwoju dziejowym" (2 tomy), „Kiedy nami rządziły kobiety" (XVIII w.), dwa tomy monografii „Piłsudski a Polska", pamiętnik z obozu Sachsenhausen (przełożony także na język angielski), dziesiątki artykułów do „Słownika Biograficznego", cykl wykładów uniwersyteckich (wygłoszonych w latach 1946/7) na temat „Przegląd dziejów Polski 1918-1939".

Klęski, jedna po drugiej, zaczęły się sypać na szermierza spraw przegranych dopiero wśród czerwonej nocy, jaka zapanowała nad Polską.

W roku 1946, kiedy z ziem polskich odpłynął potop niemiecki, Prof. Konopczyński, który z obozu koncentracyjnego wyszedł (w r. 1940) posiwiały, lecz „z młodymi oczyma" rzucił się w wir wytężonej pracy. Wrócił na katedrę historii nowożytnej Uniwersytetu Jagiellońskiego, objął prezesurę Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejętności, krakowskiego oddziału Polskiego T-wa Historycznego, redakcję „Polskiego Słownika Biograficznego", zabiegał o druk i ogłaszał własne książki („Fryderyk Wielki" nakładem Instytutu Zachodniego, w korektach „Historyka" nakładem T-wa Naukowego Warszawskiego), wyjeżdżał z odczytami na zaproszenie Królewskiej Akademii Szwedzkiej (jeden z nich, „O przyjaźni narodów" drukowany w „Sv. Tidskrift"), pisał artykuły po angielsku dla „Cambridge History Journal" i „Journal of Central European Affairs". Przygotowywał przekłady swych książek na język angielski.

W kwietniu 1947 Prof. Konopczyński zostaje wybrany na zjeździe w Łodzi prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz desygnowany na członka Międzynar. Komitetu Historyków z ramienia Polski. Jest to szczyt życiowej drogi Profesora, z którego strąci go nienawiść ludzi, którzy wydali nieubłaganą wojnę całej tradycji wolnej Polski.

Już przedtem najbardziej zachodni historyk polski poczuł ograniczenie w łączności z nauką na Zachodzie, m.in. wstrzymanie dopływu wydawnictw. Sterroryzowani historycy ze średniego i młodszego pokolenia nie dotrzymują kroku zapalonej pracy Konopczyńskiego i n.p. krakowskie T-wo Historyczne opanowuje zupełna apatia. W wyniku wyboru Prof. Konopczyńskiego na prezesa P.T.H. minister oświaty odmawia Towarzystwu zasiłku rządowego. Profesor składa zatem swą godność, rychło potem po starciu z grupą oportunistów doznając pierwszego ataku serca.

Wybrany nowym prezesem P.T.H., prof. Jan Dąbrowski uważa za swe główne zadanie walkę z postawą i wpływami Konopczyńskiego. W zorganizowanej przez siebie konferencji historyków Pol. Akademii Umiejętności nie wziął Konopczyński już czynnego udziału. Instytucje rządowe i firmy wydawnicze odmawiają druku jakichkolwiek prac profesora.

„Zahartowany agonistes" nie ustępuje z pola walki. Rezultatem upartej pracy jest „Chronologia sejmów i sejmików 1493 - 1793" (na podstawie około 900 diariuszów), monografia „Pisarzy politycznych XVIII wieku" i studium „Sprawa dysydencka w dobie pierwszego rozbioru". Jakby przeczuwając niedaleki zgon, ten mocarz nauki polskiej wyrywa głaz po głazie z brył archiwów i rzuca na szańce narodowej historiografii. Poczyna też syntetyzować swoje poglądy na dzieje i dziejopisarstwo. W „Przeglądzie Powszechnym" w r. 1947 ogłasza artykuł p.t. „Sąd historii", uzupełnia będącą w druku „Historykę"; studium autobiograficzne „Jak zostałem historykiem?", które w niniejszym numerze drukujemy, pochodzi również z tamtego okresu. Odczytał je Profesor na kilka tygodni przed śmiercią w gronie wiernych uczniów, którzy przyszli mu złożyć ostatni hołd, w 50 rocznicę rozpoczęcia pracy naukowej.

Prof. Dąbrowski odrzuca pracę Prof. Konopczyńskiego o dziejach nauki historii w Polsce, przeznaczoną do wydawnictwa zbiorowego P.A.U. (drukował ją w wyjątkach „Przegląd Powszechny" r. 1949). Wycofana zostaje z druku Konopczyńskiego praca o historii Polski lat 1914 - 1939 jako część zbiorowej „Historii politycznej Polski". Monografię o pierwszym rozbiorze Akademia Umiejętności poleca wycofać z urzędów.

Na zwołany przez reżym kongres historyków we Wrocławiu, w październiku 1948, Prof. Konopczyński zaproszony nie zostaje. Wysyła jednak list protestacyjny przeciwko zaprzęganiu nauki do powozu polityki partyjnej. Odwet jest natychmiastowy: w kilka dni potem Prof. Konopczyński zostaje pozbawiony katedry.

Pozostaje mu tylko Polski Słownik Biograficzny, który — mimo nadludzkich wysiłków redaktora — nie będzie już do końca jego życia wznowiony. Wstrzymano druk „Historyki". Przyjaciele boją się Profesora odwiedzać, gdyż dom, w którym mieszka, jest inwigilowany. Wokół uczonego powstaje pustka. Skutkiem trudności materialnych zmuszony jest sprzedać część swej posiadłości w Młyniku. Żona i córka muszą oddać się pracy zarobkowej. W maju 1949 Profesor zostaje złożony z redaktorstwa „Polskiego Słownika Biograficznego".

Odpowiedzią Konopczyńskiego na te wszystkie posunięcia i akcje jest wykończony „Zbiór polskich traktatów międzynarodowych 1600 - 1668" oraz przygotowanie gigantycznych „Polskich traktatów międzynarodowych" (przepisywanych przeważnie z braku środków osobiście i odrzuconych przez Akademię Umiejętności), wreszcie ukończenie „Historii polskich konfederacji". Z humorem nazywa Profesor te swoje prace „opera posthuma", choć rzeczywiście śmierć jest już blisko.

Jeszcze w kwietniu 1950 w Towarzystwie Naukowym Warszawskim Konopczyński wygłasza odczyt o „Tragedii eks-kanclerza" (Zamoyskiego), podobno świetny w treści i formie. Pod koniec roku dostaje eksmisję z większej części swego mieszkania, zarekwirowanego dla potrzeb „uniwersytetu". Ciężko chory przenosi swą bibliotekę i zbiory na ostatni szaniec wolności, biegnący wokół jego łóżka. Przychodzą straszne ataki bólów serca, w czasie których czyta „Trylogię", „aby o nich zapomnieć". W przerwach od bólów spisuje swoje prace. „Sądzę — pisze do przyjaciół — że powinny doczekać się reedycji Veto, Dzieje, Pułaski, Fryderyk; w obcych językach powinnyby wyjść: Fryderyk, Pierwszy rozbiór, Kwestia bałtycka, Konfederacje (w dziejach świata, z wyciągiem z dużego tomu polskiego). Historyka po trosze się starzeje; widzę potrzebę uzupełnień i zmian w doborze przekładów".

Ostatnią podróż za życia odbył Prof. Konopczyński do rodzinnej posiadłości w Młyniku, gdzie lubiał zwłaszcza melodię pasiecznych rojów. Udał się tam, aby wypocząć po życiu pracowitym, z którego nie stracił ani dnia, by go nie oddać nauce o dziejach ojczystych.

Spoczął na Salwatorze krakowskim, skąd widać Wawel, Wisłę aż po Tyniec, Kopiec Kościuszki i Tatry. Jest to miejsce, skąd oko może ogarnąć największą część Polski. Za życia człowiek ten wśród współczesnych mu ogarnął również — umysłem i sercem — największą część Polski. Mając taki horyzont mógł wziąć na siebie ciężar i honor ocalenia godności nauki polskiej w latach zamętu.

Jan Bielatowicz

HISTORYK POLSKI NIEPODLEGŁEJ

(Dokończenie ze str. 3)

Głębokie zrozumienie tego aspektu naszych dziejów, rozpoznane przez wieloletnie obcowanie z badaniami archiwalnymi wszystkich państw Europy i rozpracowane w studiach nad XVIII wiekiem, pogłębione w zetknięciu z ośrodkiem historycznym Askenazego, po raz pierwszy sformułowane zostało przez Konopczyńskiego w 1918 r. w świetnym szkicu o „Polskiej polityce zagranicznej", potem rozwinięte w wieloletnich wykładach uniwersyteckich, opracowane w studiach specjalnych, jak „Polska a Szwecja", jak „Polska a Turcja", jak „Polska polityka bałtycka", jak „Le problème baltique dans l'histoire moderne", stało się głęboką zdobyczą polskiej nauki historycznej nowoczesnej, zapisując na trwałe jego imię w dziejach polskiej historiografii. Jego dwie prace biograficzne o St. Konarskim i K. Pułaskim, jego francuskie wydanie „Liberum veto", dwutomowy podręcznik uniwersytecki „Dzieje Polski nowożytnej" oraz dwutomowe pomnikowe dzieło o „Konfederacji Barskiej", zredagowane i wykończone ostatecznie w 1938 r. i wieńczące 30-letni trud badawczo-archiwalny, były zamknięciem naukowym trudów Konopczyńskiego w tym drugim okresie jego życia, okresie Polski Niepodległej.

IV.

Na uroczystości, jaka się odbyła w Krakowie w styczniu 1939 r. ku uczczeniu 25-lecia miejscowego Oddziału Polskiego T-wa Historycznego, Konopczyński, przemawiając i mówiąc o możliwościach rozwoju tego ośrodka historycznego, mógł popatrzeć na miniony dorobek swego wysiłku naukowego z równą satysfakcją, z jaką patrzył na swoje dzieło Józef Szujski 60 lat temu. Nie przypuszczał, że zbliża się moment, gdy całe dzieło jego zachwieje się w podstawach i że tak runie w gruzy, jak runęło dzieło historyczne Lelewela, gdy po klęsce powstania 1831 r. szedł na tułaczkę, mając w ręku tobołek za cały swój bagaż naukowy.

Niedługo potem nadszedł krwawy wrzesień, przyniósł ruinę całego dorobku lat niepodległości, a naszego historyka wpędził w warunki boleśniejsze od tych, gdy w Warszawie Apuchtina stawiał najpierwsze kroki na swej drodze życiowej. Spadała na Polskę jak burza inwazja dwu potęg rozbiorczych, wstrząsnęła do głębi jego życiem, brutalna przemoc wywiozła go z kolegami uniwersyteckimi do obozów koncentracyjnych, potem nastąpiły lata terroru okupacyjnego, wreszcie dni „wyzwolenia" przez czerwoną armię i nowy ład polskiej „demokracji ludowej".

Za blisko jesteśmy tych czasów, które jeszcze trwają, i za mało znamy szczegóły życia prof. Konopczyńskiego, by skreślić sylwetkę jego na tle tych czasów i przebieg jego ostatnich lat. Znając jednak jego poprzednią działalność naukową i obywatelską, znając, co więcej, jego twardą postawę i bezkompromisowość, ujawniającą się w przeróżnych okolicznościach jego życia, nie trudno wyobrazić sobie, co musiał przeżyć ten człowiek, gdy po raz trzeci stanął wobec tych nowych prób życia i nowych doświadczeń historii.

On sam i całe jego dotychczasowe dzieło życia stanęło nagle w obliczu strasznej jakby konfrontacji historycznej. Człowiek stanął wobec innego jakiegoś życia i barbarzyństwa, historyk Polski Niepodległej stanął wobec nowego eksperymentu, który miał być jakby sprawdzianem wartości dotychczasowych syntez oraz zdobytych „prawd".

Tę pracę konfrontacyjną zmuszony będzie prof. Konopczyński prowadziły w owych latach wojny w dwóch jakby laboratoriach.

Najpierw poprzez pryzmat doświadczenia niemieckiego w latach 1939-1944. Warsztatami tej próby to obozy koncentracyjne w Sachsenhausen i Oranienburgu oraz pracownia konspiracyjna uczonego polskiego pod okupacją hitlerowską w Krakowie. Po wtóre poprzez doświadczenia rzeczywistości sowieckiej w latach 1945 - 1948.

Ze strzępów wiadomości, które do nas wszystkich przenikały, mieliśmy możność zdawać sobie sprawę i śledzić z uwagą przebieg tej konfrontacji historyka polskiego. Śledziliśmy to z obawą. Wyczuwaliśmy podświadomie, że dokonuje się w tym procesie psychologicznym nie tylko sprawdzanie wartości pracy i dorobku naukowego samego profesora ale że poprzez mękę dokonuje się jakby weryfikacja wartości całego tego wysiłku, na jaki zdobyła się cała nasza nauka historyczna w okresie niepodległości. Konopczyński wyrastał w naszych czasach na symbol dzieła historycznego Polski Niepodległej.

W tym okresie Konopczyński dokonał wiele, jak za najlepszych czasów jego pierwszych lat pracy naukowej. Podczas konspiracji niemieckiej pisze i wykańcza to, co zaawansowane i rozpoczęte było przed wojną. W trzechleciu inwazji sowieckiej ma możność opublikowania niektórych prac wykończonych; drukuje „Kwestię bałtycką XX w.", „Fryderyk Wielki a Polska", „Chronologię sejmów polskich"; bierze udział w „Księdze ku czci Feldmana", pierwszego ucznia swego. Przygotowuje również tom „Traktatów międzynarodowych dawnej Rzplitej". Co więcej, nawiązując do niedawnej przeszłości, będzie również usiłował ratować z gruzów przedwojennej nauki historycznej to, co jeszcze da się uratować. Nie bez jego przyczynienia się zapewne zorganizowana została, jak w 1920, pierwsza powojenna „Konferencja towarzystw i instytucyj uprawiających badania historyczne" pod auspicjami Akademii Umiejętności w dn. 26. 10. - 27. 10. 47.

Ale w tym momencie zaczną występować na plan pierwszy te elementy, które dotąd ukryte i śledząc wszystko, nie mogły w nowej polskiej rzeczywistości dopuścić do odbudowy przedwojennych czynników polskiej nauki historycznej. Reorganizacja tej wiedzy na podstawie materializmu historycznego była zbyt ważnym postulatem w utrwalaniu stanu posiadania w Polsce, aby go zaniedbać miano. Występują więc te siły po raz pierwszy w postaci zorganizowanej na VII Kongresie Historycznym polskim we Wrocławiu we wrześniu 1948 i rozpoczynają natarcie z wiadomymi dziś rezultatami.

Wyraźne „NIE" sędziwego profesora odsuwa go brutalnie od polskiego świata historycznego. Okazuje się za starym na katedrę historii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, niezdolnym do naczelnego redaktorstwa „Słownika Biograficznego" (wkrótce potem zawieszonego), nieprzydatnym w Komisji Historycznej P. A. U., zbyt niecierpliwym w oczekiwaniu na wydrukowanie ukończonych prac jego. Usuwa się więc w zacisze Młynika, by dalej pisać i wykańczać swoje dzieła historyczne, jak „Polska w dobie pierwszego rozbioru", jak „Dzieje pierwszego rozbioru", jak „Pisarze polityczni XVIII w.", jak „Sejm w dziejowym rozwoju" itd. Pisze jak dawniej, z tym samym zapałem, z tym samym optymizmem i wiarą w wartość polskiego dziejopisarstwa, tak pojętego i rozwiniętego, jak tego dokonały lata Polskiej Niepodległości.

Z tym optymizmem święcił w największej skromności 50-lecie swej działalności pisarskiej w czerwcu 1952 r., z tym optymizmem w przyszłość Polski odszedł od nas 13 lipca. Ostawił olbrzymie dzieło, on — ten wielki historyk Polski Niepodległej.

Czesław Chowaniec

KRONIKA

Wicepostulatorem procesu beatyfikacyjnego arcybiskupa Jana Chrzciciela Cieplaka został ks. prałat Włodzimierz Cieński. Postulatorem generalnym jest ks. prałat Walerian Meysztowicz, radca kanoniczny ambasady polskiej przy Watykanie. (O procesie tym pisaliśmy w numerze z 5 października).

*

Na polecenie władz duchownych wyjechał do Radio Free Europe w Monachium ks. kan. Tadeusz Kirschke, dotychczasowy asystent kościelny P.K.S.U. Veritas i kapelan akademicki w Londynie kiedyś również asystent kościelny w redakcji ŻYCIA.

*

W połowie grudnia wraca do Londynu po kilkuletnich studiach w Stanach Zjednoczonych ks. kan. Stanisław Bełch i obejmuje te same stanowiska, które piastował przed wyjazdem: asystenturę kościelną P.K.S.U. Veritas i kapelanię akademicką.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews. London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w t e k ś c i e 50 proc. drożej, na stronie t y t u ł o w e j 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Librería Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 250 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seehamerstr. 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 3$., pocztą lotniczą 53. Przedstawiciele: 1) J. Stojanowska, 10, East 18th Street, Bayonne N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue Detroit 7, Michigan.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.